

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

To, co się stało 11 września 2001 roku, sprawiło, iż przez moment zadawało się, że świat stracił grunt pod nogami. Wskazówka kompasu społeczności międzynarodowej uległa – można było sądzić – rozmagnesowaniu. Szok i zdumienie odebrały wielu zdolność trzeźwego osądu sytuacji, a psychoza wszechobecnego zagrożenia terroryzmem nakazywała oczekiwać dalszego ciągu wydarzeń z 11 września i przygotowywać się na najgorsze. W kilka tygodni potem okazało się, że świat „stoi jak stał”, choć wpływ na życie narodów i życie międzynarodowe wywierać będzie nie tyle odrażający i nieludzki czyn będący dziełem nie do końca rozpoznanego przeciwnika, ile nasze o nim wyobrażenie, a zwłaszcza sposoby, za pomocą których możemy go, w naszym przekonaniu, zwalczać. Poważniejsze zdają się więc konsekwencje zamachu terrorystycznego niż sam zamach. Zaczęto mówić o rewolucji geopolitycznej, nowych koalicjach, konieczności zbrojeń, wojen prewencyjnych oraz poświęcenia demokracji i praw człowieka na ołtarzu walki z terroryzmem; owemu terroryzmowi zaczęto też przydawać różne oblicze w zależności od tego, gdzie mówiono o tym zagrożeniu: w Waszyngtonie, w Rosji czy na Bliskim Wschodzie. Stan porządku międzynarodowego uległ bez wątpienia pogorszeniu. Oazą spokoju zdawała się pozostawać Europa. Wrażenie złudne, nie mogła ona bowiem ani pozostać obojętna na to, co działo się wokół niej, ani też pewna, że zagrożenie terroryzmem lub jego rozmaite implikacje ją oszczędzą.

11 WRZEŚNIA – SPEKTAKULARNY EPIZOD CZY NARODZINY NOWEJ EPOKI

Terrorystyczny atak na Amerykę 11 września uzyskał w wypowiedziach wielu polityków i komentatorów miano wielkiej cezury. Mówiono o początku nowej epoki, o prawdziwym końcu zimnej wojny, o tym, iż wiek XX zakończył się dopiero 11 września, lub też porównywano 11 września z wydarzeniem w Sarajewie 28 czerwca 1914 r. Powszechnie twierdzono, że nic już nie będzie takie samo jak przed 11 września. Powodem było zaskoczenie i przerażenie spektakularnym aktem ludobójstwa. Tymczasem atak z 11 września był zaskoczeniem, jeśli chodzi o sposób przeprowadzenia i liczbę ofiar, samo zaś zagrożenie było jednak przewidywane, a wręcz oczekiwane. Już od pewnego czasu istniała pełna świadomość tego zagrożenia oraz panowało poczucie pewnej bezradności.

Przypomnijmy, iż po serii zamachów terrorystycznych w latach 1995–1996 cytowany przez nas w „Roczniku” 1996/1997 wyższy przedstawiciel administracji USA powiedział: „**Niestety, cokolwiek uczynimy, nie unikniemy następnych zamachów**”.

Pod wrażeniem spektakularnych i wstrząsających wydarzeń mamy naturalną skłonność do nadużywania wielkich słów, do określania tych zadań jako „przełomowe” bądź „zwrotne”. Problematiczną kwestią jest „pomiar znaczenia” takich wydarzeń. Jaką miarą je mierzyć? Trzeba uważać, byśmy nie popadli tutaj w tak zwaną podwójną miarę (*double standard*). Liczbą ofiar cywilnych? Na długiej liście konfliktów od zakończenia zimnej wojny prawie 3 tys. ofiar ataku na WTC nie może robić, jeśli nie chcemy być nadto cyniczni („Amerykanie są więcej warci niż inni”), takiego wrażenia jak akty ludobójstwa rządu około 700 tys. w rejonie Wielkich Jezior, około 200 tys. w byłej Jugosławii czy dwa razy po kilkadziesiąt tysięcy w Czeczenii. Są też inne miary. Tutaj zamach dotknął bezpośrednio jedynego supermocarstwa, przeświadczonego dotychczas o absolutnym bezpieczeństwie i nietykalności swego terytorium. Trzeba być jednak ostrożnym, by nie wpaść w sidła fałszywej świadomości, której źródłem jest zaskoczenie bezczelnością sprawców, spektakularnym charakterem ludobójczego zamachu, współczuciem dla ofiar oraz bezspornym wymogiem solidarności z Ameryką. Lawrence Weschler w komentarzu zatytułowanym *Skromniej o kryzysach* napisał: „W tym braku proporcji kryje się jedno wielkie niebezpieczeństwo: **wypaczenia rozmiarów riposty** (podkr. R.K.). Jeżeli bowiem zamach rzeczywiście stanowił tragedię wszech czasów o bezprecedensowych skutkach, to w tej kwestii należało by odrzucić wszelkie z góry przyjęte ograniczenia”¹.

To jest trochę tak jak z upadkiem komunizmu – wiedzieliśmy, że to się stanie. Nie można było jedynie przewidzieć momentu i sposobu jego upadku; życie społeczne nie jest przewidywalne do tego stopnia. A kiedy to już się stało, byliśmy jednak zaskoczeni i początkowo nie bardzo było wiadomo, jak się potoczą sprawy. Świat jednak nie zmienił się tak bardzo również wtedy – z upadkiem komunizmu. Zmieniło się bardzo jedynie życie narodów poddanych wcześniej temu systemowi. Pozostały główne organizacje międzynarodowe, normy, mocarstwa, powiązania regionalne, podziały ekonomiczne czy religijne. Zmiany, jakie nastąpiły, dotyczyły akcentów, tempa czy intensywność pewnych zjawisk i tendencji (na przykład globalizacja, demokratyzacja). Z braudelowskiej perspektywy okres 1989/1991 nie był okresem rewolucji w porządku międzynarodowym. Upadł komunizm, który był wszakże historyczną aberracją skazaną na przegraną.

¹ Autor, dyrektor nowojorskiego Institute for Humanities, pisze też: „W Rwandzie jednego tylko dnia masakrowano tyłu ludzi, ilu byłoby w obu wieżach WTC, gdyby pracowali wszyscy i gdyby nikomu nie udało się uratować. I działo się tak dzień po dniu, przez całe tygodnie, ludzi w Rwandzie również zabijano po kolei – i nikt nawet nie kiwnął palcem, żeby im pomóc”. I dodaje jako przestrożę: „Tymczasem pierwszy odruch amerykańskich wojskowych to nazwanie własnej riposty na te nowe zagrożenia operacją «Sprawiedliwość bez granic». Łatwo sobie wyobrazić, jak te właśnie słowa – Sprawiedliwość bez granic! – wypływają z siebie terroryści, radośnie kierując samoloty pełne paliwa ku różnym, skazanym na zagładę celom. «Sprawiedliwość bez granic» – to określenie nie zostawia miejsca na błędy czy wątpliwości. Nie ma takiej ceny, której nie warto byłoby zapłacić”. L. Weschler, *Skromniej o kryzysach*, „Rzeczpospolita” [dalej „Rz”] z 8 października 2001 r.

Są jednak powody do mówienia o nowej erze czy porządku międzynarodowym po 11 września. Gdyby coś miało się zmienić, oznaczałoby to zmianę na gorsze. Ewentualne zmiany byłyby bowiem utrwaleniem pewnych obecnych symptomów czy zjawisk wymuszonych wymogami skuteczności w walce z terroryzmem, i trudno w lutym 2002 r. przesądzić, czy są one zapowiedzią trwałych cech nadchodzącego porządku międzynarodowego. Łatwiej dzisiaj powiedzieć, czym wydarzenie 11 września nie było. Mimo zwrotu w polityce prezydenta Putina wobec Zachodu nie był to „prawdziwy” koniec zimnej wojny. Stanowiła ona wszak ideologiczno-strategiczny antagonizm między Wschodem a Zachodem jako systemami społeczno-ekonomicznymi i jej prawdziwy kres nastąpił nieodwołalnie w 1989 r. Kolejne deklaracje o „ostatecznym” końcu zimnej wojny miały wyłącznie źródło w medialnym zapotrzebowaniu na „historyczny punkt zwrotny”. Nie był to też chyba początek wojny między cywilizacjami, choć zapewne jakiś jej przejaw (atak skrajnego elementu jednej cywilizacji przeciwko fragmentowi innej). Porównanie z Sarajewem wypada jeszcze mniej przekonywająco. Dość przekonywająco brzmiało natomiast porównanie tego, co się stało, a także amerykańskiej reakcji na atak terrorystów, do „światowej wojny domowej”. Chodzi o wojnę, którą „prowokują nie tylko islamscy fundamentaliści, ale wszyscy ci, którzy idą na barykady przeciwko globalizacji gospodarki, przeciwko ubezwłasnowolnieniu całych regionów świata i postępującej amerykańskiej cywilizacji”. A może *novum* ma inny, techniczny, by tak rzec, charakter. Zamach z 11 września był ostatecznym dowodem na to, o czym wcześniej wielu mówiło, a wielu nie dowierzało, to znaczy na globalizację terroryzmu. Terroryzm „dołączył” do innych sfer – jakkolwiek dziwne może wydać się to określenie – ludzkiej aktywności, które w ostatnich dziesięcioleciach stały się przedmiotem globalizacji. Oto bowiem pochodzący przede wszystkim z Egiptu i Arabii Saudyjskiej terroryści, których centrala przejściowo znajdowała się w Afganistanie, korzystając z wiedzy i środków gromadzonych w Europie Zachodniej, dokonali zbrodniczej napaści na Nowy Jork i Waszyngton na oczach – za pośrednictwem globalnych sieci telewizyjnych – całego świata².

Na początku 2002 roku nie wydaje się możliwe rozstrzygnięcie, czy akt z 11 września był początkiem nowej ery, czy też „jedynie” tragicznym wydarzeniem. Na pewno tym drugim, wątpliwe, aby tym pierwszym. Nie wiemy naturalnie, co jeszcze może się zdarzyć w kampanii antyterrorystycznej. To, co się dzieje, jest świeżo otwartym procesem, w którego toku może się jeszcze wiele wydarzyć i czego konsekwencje mogą być bardziej rozległe, niż dzisiaj możemy ocenić. Zgodnie z zasadą niepożądanych konsekwencji (środek do rozwiązania jednego problemu wywołuje nowe, niekiedy jeszcze większe) nawet ograniczone co do zakresu działanie-wydarzenie może, jeśli dotknie uspiionych czy niewidzialnych dotąd czynników, prowadzić do rozległych ruchów tektonicznych. To, co już się zdarzyło i dzieje przed naszymi oczami, skłania raczej do pewnych pytań i obaw.

² Sz. Peres, *Terroryzm – globalne zagrożenie*, „Rz” z 13–14 października 2001 r.; A. Krzemiński, *Światowa wojna domowa*, „Polityka” z 6 października 2002 r.

Udzielanie odpowiedzi – w koncepcji i praktyce – potrwa dłużej. Oby rozwiewały one także rodzące się obawy.

WOKÓŁ PRZYCZYN

„Retoryczne ekscesy o krucjacie i «eliminowaniu» terroryzmu sponsorowanego przez różne kraje są nie tylko politycznym błędem, który może powodować u niektórych skłonności do nadużyć i oportunistów, lecz również utrudniają samym Amerykanom zrozumienie tego zagadnienia”, pisał jeden z najbardziej znanych amerykańskich komentatorów. „Ataki nie były, wbrew temu, co sądzi pan Bush i jego koledzy, wymierzone przeciwko zachodniej cywilizacji czy też wolnemu światu. Były one świadomie i z określonych powodów wymierzone przeciwko Stanom Zjednoczonym. Były one pomyślane tak, aby zaszkodzić Stanom Zjednoczonym i nikomu innemu. Były one aktem retaliacji za określone czyny popełnione przez USA i ze względu na określoną politykę, którą Amerykanie prowadzili od lat w pewnych dziedzinach.

Amerykanie mogą sądzić, że ta polityka i te działania były całkowicie słuszne i usprawiedliwione, albo że takie nie były. Jednak Amerykanie muszą brać za nie odpowiedzialność oraz akceptować ich konsekwencje. My Amerykanie musimy mieć pełną jasność co do tego, co się wydarzyło. W konsekwencji, to straszne doświadczenie powinno prowadzić nas do nowej i poważnej refleksji na temat tego, co robiliśmy w przeszłości, i tego, co powinniśmy robić obecnie. Tak się jednak nie stanie, dopóki nie opadnie kurz i nie dokona się zemsta. Martwi mnie jedynie to, iż nie stanie się tak również potem”. Tak pisał jeszcze we wrześniu 2001 r. William Pfaff. Podobnie, czy niemal identycznie, uważali Francis Fukuyama i Norman Davies, dla których atak z 11 września był pierwszą próbą przetrzepania bezpośrednio na Amerykanów ceny za prowadzoną przez ich rząd politykę zagraniczną; dotąd, zdaniem obu, cenę tę ponosili inni – mieszkańcy krajów „dotkniętych” polityką Waszyngtonu. Przez pół wieku – pisali inni autorzy – amerykański establishment żył w błogim przeświadczeniu, że Ameryka może bezkarnie działać w państwach Trzeciego Świata. Teraz Waszyngton musi działać wyposażony nie tylko w dolary i rakiety, lecz również w zdrowe zasady moralne. W tym samym nurcie mieściło się rozumowanie Zbigniewa Brzezińskiego, który wskazywał m.in. na negatywne skutki dla ludności, a przede wszystkim dzieci, polityki USA wobec Iraku czy wspieranie bez zastrzeżeń wszelkich akcji Izraela przeciwko Palestyńczykom³. Doszukiwanie się źródeł ataku terrorystycznego z 11 września w polityce zagranicznej USA nie było naturalnie dla nikogo usprawiedliwieniem tego zbrodniczego aktu dokonanego przez pałających ślepą nienawiścią religijnych fanatów.

³ W. Pfaff, *Would-Be Allies Use U.S. War on Terrorism for Their Own Ends*, „International Herald Tribune” [dalej „IHT”] z 24 września 2001 r.; *Czas na zmianę polityki*, wywiad B. Węglarczyka z Z. Brzezińskim, „Gazeta Wyborcza” z 20 września 2001 r.; K. Bird, M. Sherwin, *A Fair Foreign Policy Is the Best Defense*, „IHT” z 13 grudnia 2001 r.; F. Fukuyama, *The United State*, „Financial Times” z 15–16 września 2001 r.

Drugi nurt wyjaśniania idzie w kierunku doszukiwania się tak zwanych głębszych przyczyn, tkwiących w samej strukturze, niektórych cechach i kierunku ewolucji porządku międzynarodowego. Tutaj panowała szeroka zgodność co do tego, że „winowajcami” są m.in. globalizacja, postępujące różnice między biednymi i bogatymi, upadek struktur państwowych, poniżenie i nędza wielu społeczeństw oraz pandemie w różnych regionach świata. Podłożem i paliwem dla terroru, w ocenach wielu osób i instytucji, są nierówności. „Poczucie wyłączenia ze społeczności – pisał szef Banku Światowego James D. Wolfensohn – może stanowić pożywkę dla gwałtownych konfliktów. Kraje targane przez konflikty stają się rajem dla terrorystów”. Nie należy się zatem dziwić, że prężny, bogaty i arogancki Zachód, a przede wszystkim Ameryka, wzbudza uczucie nienawiści, które w skrajnych przypadkach przeradza się w destruktywną desperację, włącznie z gotowością do aktów zbrodniczego terroru. Niektórzy, tracąc poczucie miary, dopatrywali się w Usamie Ibn Ladinie współczesnego Robin Hooda. Na ten kompleks nakłada się problem islamu, którego stosunki z chrześcijaństwem, a później Zachodem, są od wieków złożone i często konfliktowe. Mieści się tutaj nie tylko problem konfliktu bliskowschodniego i amerykańskiej obecności wojskowej w Arabii Saudyjskiej – kraju świętych miejsc islamu, co było deklarowanym przez Usamę Ibn Ladina pretekstem ataków przeciwko Ameryce. Chodzi o coś znacznie bardziej poważnego. Pisze o tym trafnie m.in. Michael Howard: korzenie nienawiści „tkwią w wyzwaniu, jakim dla islamskiej kultury i wartości stanowi świecka i materialistyczna kultura Zachodu i niemożność sprostania temu wyzwaniu. (...) Jest to trudna do wyciszenia konfrontacja między tradycyjną i teistyczną kulturą krajów znajdujących się niegdyś na porównywalnym z Europą poziomie rozwoju a świeckimi i materialistycznymi wartościami Oświecenia”. Radykalny islam jest próbą odreagowania klęski całej cywilizacji w procesach modernizacyjnych; próbą obrony idealistycznej wizji świata – dodawali inni. Jednocześnie – jak podkreśla Howard – nie możemy mieć złudzeń. Pragnienie „dłożenia Zachodowi” żywią nie tylko saudyjscy fundamentaliści. To pragnienie podziela więcej odczuwających poniżenie i nędzę narodów, które swoje położenie wiążą z nieustającą dominacją Zachodu i dla których ofiary na Manhatanie są niczym w porównaniu z milionami ofiar wojen, podbojów, wyzysku przypisywanych Amerykanom⁴.

Niektórzy, usiłując zrozumieć przyczyny tragedii z 11 września, sięgają jeszcze głębiej do historii. „Kiedy imperialni władcy wycofują się do swych metropolii, zostawiają za sobą nie zagojone rany i tłące się urazy”, pisał na łamach „Financial Times” John Lloyd. **„Żyjemy pośród ruin przeszłych imperiów – dziedzictwa, które USA i Zachód muszą uznać i zrozumieć. Dla zamieszkujących te ruiny narodów to Zachód jest imperium zła”**. Podobną myśl wyraża największy być

⁴ J. Wolfensohn, *Wyzwanie dla naszego pokolenia*, „Rz” z 24 października 2001 r.; S. Talbott, N. Chanda (red.), *The Age of Terror. America and the World after September 11*, Hartford 2001; D. MoCsi, *Tragedy that Exposed a Groundswell of Hatred*, „Financial Times” z 24 września 2001 r.; M. Howard, *What’s in a Name?*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2002; A. Sampson, *Military Reprisal Play Into bin Laden’s Strategy*, „IHT” z 24 września 2001 r.

może autorytet w dziedzinie studiów strategicznych, Lawrence Freedman: „Konflikty, na których żerowała Al-Ka’ida, są produktem ubocznym procesu dekolonizacji, uruchomionym przez wielkie wojny, a który doprowadził do powstania wyjątkowo słabych, targanych wewnętrznymi walkami państw”⁵.

Na tle nurtu, który dopatrywał się źródeł 11 września w bieżącej polityce USA czy Zachodu bądź w niesprawiedliwości obecnego porządku międzynarodowego i w jego historycznych korzeniach, rzadkie były głosy sprzeciwu wobec gorliwego brania całej winy na siebie (czyli na Zachód). Jeśli już wina Zachodu, twierdzili przedstawiciele tej orientacji, to leży ona gdzie indziej, w słabości i tolerancji Zachodu wobec zewnętrznych wyzwań. Trzeba tu zgodzić się z Henrym Kissingerem, który pisze, iż „przez ostatnią dekadę demokracje stopniowo padały ofiarą iluzji, że zagrożenia z zewnątrz przestały istnieć; iluzji, że wszelkie niebezpieczeństwa mają głównie podłoże psychologiczne lub socjologiczne, i że historia przekształcała się w jakimś sensie w dziedzinę ekonomii albo psychiatrii”. Ma także rację Bronisław Wildstein, który nawiązując do głośnych wystąpień Oriany Fallaci i włoskiego premiera Silvio Berlusconi o wyższości zachodniej cywilizacji, twierdził, że europejska tolerancja i mit wielokulturowego państwa sprzyjały rozwojowi przybywających z zewnątrz antyzachodnich fundamentalizmów. **„Winniśmy domagać się, aby przybysze przyjęli zasady kultury, z dobrodziejstwa której korzystają. Inaczej fundujemy chaos i – na zasadzie reakcji – rasizm, który ugodzi we wszystkich”**. W ten nurt wpisuje się też głośna praca Patricka Buchanana *Śmierć Zachodu* – autor na podstawie rzetelnej analizy trendów demograficznych prorokuje powolne zanikanie zachodniej cywilizacji. Jego zdaniem źródłem tego procesu jest odchodzenie przez społeczeństwa Zachodu od wartości i zasad własnej cywilizacji na rzecz konsumpcjonizmu i relatywizmu, który prowadzi do zgody na imigracyjną inwazję witalnej siły roboczej z zewnątrz. Przybysze przynoszą z sobą własną kulturę i religię i zepchną Europejczyków do rozmiarów mniejszości, której prawa niekoniecznie będą respektowane⁶.

Co się tyczy kwestii, przeciwko komu (czemu) atak z 11 września był skierowany, to zaznaczyła się różnica między solidarnościową retoryką wielu polityków głoszących, iż był to atak na cały cywilizowany świat lub przynajmniej na zachodnią cywilizację, a kręgami eksperckimi, wśród których wyraźnie przeważał pogląd, iż był to atak świadomie, z premedytacją i precyzją skierowany przeciwko USA. Przypominano, że był to kolejny zamach w długiej sekwencji ataków na cele (obiekty) amerykańskie na świecie. Ten z 11 września porażał jedynie skalą i zuchwałością. Taki atak byłoby o wiele łatwiej przeprowadzić w Europie za-

⁵ J. Lloyd, *When Empires Strike Back*, „Financial Times” z 8–9 grudnia 2001 r.; L. Freedman, *The Third World War?*, „Survival”, zima 2001.

⁶ B. Wildstein konkluduje: „Mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek domagać się poszanowania naszej kultury, o co tak gwałtownie występuje Fallaci. Tylko że w tym celu sami musimy szanować jej fundamenty. Współczesne relatywizmy kulturowe prowadzą do podważenia naszej kultury, tworząc niebezpieczny klimat, na którym łatwo wyrasta ideologia przemocy. *Głos w obronie Zachodu*, „Rz” z 20–21 października 2001 r.; H. Kissinger, *Nie wolno leżeć na wznak*, „Rz” z 17 września 2001 r.

mieszkiwanej przez miliony ludności islamskiej, wśród której aktywni są islamscy fundamentaliści. Wątpliwe były podstawy, by sądzić, że był to atak przeciwko całemu Zachodowi, naszej cywilizacji, wartościom itp., czyli że „mogło to spotkać jakiekolwiek państwo zachodnie”, czy nawet sięgnąć dalej. Co nie oznacza, iż należało uważać, że nas (zwłaszcza sojuszników USA) to zupełnie nie dotyczyło, lub też, iż nie powinniśmy udzielać pomocy USA, lub jeszcze dalej – nie powinniśmy się angażować w operację antyterrorystyczną. Przeciwnie, zachodnie demokracje są narażone na zagrożenie terroryzmem nie od dzisiaj, i powinny móc się skutecznie temu zagrożeniu przeciwstawiać. Jednak oprócz ustroju wewnętrznego (rynek, liberalizm, demokracja, prawa człowieka) ogromne znaczenie dla prawdopodobieństwa ataku przeciwko danemu krajowi ma również jego polityka zagraniczna, to znaczy charakter (zasięg, środki, sposoby) jego międzynarodowego zaangażowania. Stąd też prawdopodobieństwo ataków terrorystycznych *à la* 11 września jest nieporównanie wyższe w odniesieniu do USA niż do Portugalii czy Norwegii (także zachodnich państw NATO).

OPERACJA MILITARNA USA

Flora Lewis, będąca od kilkadziesiąt lat jednym z największych autorytetów publicystyki międzynarodowej, komentując w pierwszych dniach grudnia 2001 r. na łamach „International Herald Tribune” amerykańską operację antyterrorystyczną, napisała m.in.: „**Natężenie emocji i gniew, aczkolwiek w pełni usprawiedliwione, nie mogą stać na przeszkodzie przyzwoitemu postępowaniu, zgodnemu z wartościami, które wyznajemy, i zasadą praworządności**”⁷.

Dla znakomitej większości państw świata było oczywiste, że atak na Amerykę musi spotkać się z militarną odpowiedzią. Nie tylko dlatego, że Ameryka ma prawo do odwetu, lecz dlatego, że bezkarność sprawców takiej zbrodni ludobójstwa stałaby się niebezpieczna dla reszty świata, w tym także dla państw (rządów) islamskich. Militarna reakcja USA była zatem w oczach przeważającej części światowej opinii publicznej uzasadniona i postrzegana jako sprawiedliwa. Jednocześnie od pierwszych tygodni trwania tej operacji pogłębiał się rozróżnienie w ocenie sposobu jej prowadzenia i związanych z tym szerszych jej implikacji, między entuzjastycznymi ocenami dominującymi w USA i częściowo w Wielkiej Brytanii a powściągliwością i sceptycyzmem w podejściu do amerykańskiej taktyki widocznymi w wypowiedziach pochodzących z innych krajów, nawet jeśli ich rządy oficjalnie wyrażały bezwarunkowe poparcie dla poczynań Waszyngtonu. Krytycyzmu nie brakowało zresztą w niezależnych kręgach opiniotwórczych w samej Ameryce (na marginesie warto zauważyć, że po raz kolejny całkowicie zawiódł amerykański wywiad, który nie potrafił właściwie zinterpretować licznych sygnałów zapowiadających nadciągającą katastrofę).

W głosach analityków i ekspertów, także tych zbliżonych do kół oficjalnych, wskazywano na jednostronność i arbitralność działań amerykańskich, brak

⁷ F. Lewis, *Now Who Will Defend The Rule of Law?*, „IHT” z 7 grudnia 2001 r.

koalicyjnego podejścia do walki z terroryzmem, brak umiaru w stosowaniu siły pociągający za sobą zbędne straty wśród ludności cywilnej i zniszczenia materialne, destabilizujące efekty uboczne, które będą się ujawniać po pewnym czasie. Sposób prowadzenia operacji – nacisk na ciężkie bombardowania i wywołany nimi chaos – ułatwił, jak twierdzono, ucieczkę Usamie Ibn Ladinowi i innym przywódcom. „Wojna przeciwko Ibn Ladinowi przekształciła się w wojnę przeciwko Afganistanowi”, pisano. Przy czym sprawca ludobójczego aktu zniknął, „cynicy” zaś cytowani przez „The Economist” ironizowali, że „amerykańskie bombardowania Afganistanu jedynie zetrą ruiny na proch” (chodziło o ruiny po poprzednich wojnach). Nawet krytycy sposobu prowadzenia tej operacji przez USA nie kryli podziwu dla polityczno-dyplomatycznej zręczności i skuteczności Waszyngtonu w sprawie zmontowania rozległej koalicji międzynarodowej wspierającej operację afgańską. Nie wróżono zarazem tej koalicji szans na przetrwanie po zakończeniu gorącej fazy konfliktu w Afganistanie lub w razie jego rozszerzenia przez Waszyngton na inne kraje.

Od samego początku wątpliwości budziło jedynie określenie przez Waszyngton sytuacji z 11 września i amerykańskiej reakcji na nią jako „wojna”. „Jeśli to oznacza wojnę – zapytywał Anthony Lewis – to co wojna będzie oznaczać?”. Nie zapominajmy, dodawał, iż wróg w tej wojnie będzie wyjątkowo nieuchwytny. Zastosowanie klasycznych metod wojennych doprowadzi do śmierci wielu ubogich Afgańczyków i garstki terrorystów. „Niebezpieczeństwo takiej operacji wojskowej polega na tym, iż może ona uruchomić prawo niezamierzonych konsekwencji, nieproporcjonalnych i odwrotnych od początkowych intencji”. Jeśli, jak chcą Amerykanie, jest to wojna, to toczy się ona od dawna, a całe *novum* polega na tym, że objęła ona także terytorium USA, dodawali inni. Najpełniej problemy związane z operacją militarną USA wyjaśnia wybitny historyk wojen, cytowany wcześniej Michael Howard, którego opinię warto w tym miejscu szerzej przytoczyć. „Użycie lub raczej złe użycie terminu «wojna» nie jest jedynie kwestią legalności czy semantycznego pedantyzmu”, pisze prof. Howard. Deklarować, iż jest się w stanie wojny, oznacza natychmiast tworzyć kontrproduktywną wojenną psychozę oraz oczekiwanie na spektakularną akcję wojskową. Nie oznacza to, że nie należy używać siły. Niekiedy im szybciej, tym lepiej. Atak taki jak ten nie mógł być pozostawiony bez militarnej reakcji. Była to bowiem przekraczająca efekt Pearl Harbor obraza honoru Ameryki, która domagała się spektakularnej akcji odwetowej amerykańskich sił zbrojnych. Prof. Howard podzielał wprawdzie w pełni konieczność użycia w sposób szybki i zdecydowany siły militarnej, lecz raczej subtelnie, nie na odlew. Przy jej stosowaniu powinny być wzięte pod uwagę wszystkie okoliczności, łącznie z koniecznością odniesienia zwycięstwa w walce o „serca i umysły”. Chodzi tu o podłoże, z którego wyrasta terroryzm, a które powoduje, że przez wielu terroryści postrzegani są jako obrońcy czy mściciele działający samowładnie w imieniu tych, co cierpią ubóstwo, upokorzenie i marginalizację. Jeśli zwalczając terrorystów powoduje się straty wśród niewinnej ludności cywilnej, traci się podstawy moralne działania. „Uciekać się do bombardowań w takiej sytuacji – twierdzi prof. Howard – to jakby próbować pozbyć

się komórek rakowych przy użyciu lutownicy. Jakiegokolwiek byłoby uzasadnienie dla bombardowania Afganistanu, pociąga ono za sobą nieuchronnie koszty uboczne (owe *collateral damage*, znane z okresu operacji NATO przeciwko Jugosławii), które zredukowały przewagę moralną uzyskaną przez Amerykę po atakach terrorystycznych 11 września”. Retoryka mediów i polityków towarzysząca tej wojnie niepokoi Howarda, pokazuje bowiem – jego zdaniem – jak bardzo nie rozumieją oni problemu terroryzmu. W walce z terroryzmem mianowicie należy posługiwać się nie wojną, lecz działaniami o charakterze operacji kryzysowej (*emergency*), które nie pociągają za sobą rozległej destabilizacji życia społecznego kraju prowadzącego operację i kraju, na którego terenie jest ona prowadzona.

Michael Howard jednoznacznie krytycznie odnosił się do wezwań i projektów rozszerzenia wojny poza Afganistan. „Prawicowi politycy, zachęcani szybką i przyjemną (*a short, jolly war*) wojną w Afganistanie, domagają się ataku na Irak. Przypominają w tym pijaka, który zgubił swój zegarek w ciemnej uliczce, lecz szuka pod latarnią, ponieważ tam jest jaśniej. Rozszerzenie wojny na «państwa hultajskie», nawet jeśli takie jest życzenie amerykańskiej opinii, byłoby katastrofalne. Taka polityka, w imię pokoju na świecie, nie tylko przedłużałaby tę wojnę w nieskończoność, lecz również byłaby gwarancją tego, iż ta wojna nigdy nie zostałaby wygrana”. Rozważane publicznie przez przedstawicieli administracji USA plany zaatakowania innych państw, a pierwszej kolejności Iraku, nie znalazły zresztą nigdzie poparcia, nawet wśród najbliższych sojuszników Waszyngtonu, którzy ostrzegali USA przed podjęciem takich akcji. Istotnie, dość przerażająco brzmiało wzywianie przez wielu znanych publicystów i komentatorów do „pójścia za ciosem” i wymawianie jednym tchem: Al-Ka’ida, Irak, Syria, Iran, Jemen, itd. jako... „kraje do wyzwolenia”! Wszystko to bez oglądania się na nic i na nikogo, to znaczy na zdanie społeczności międzynarodowej, sojuszników, ONZ, bez względu na prawo międzynarodowe⁸.

Sprawa przestrzegania w toku wojny w Afganistanie prawa wojennego i prawa humanitarnego była istotnie tym aspektem operacji, który rodził sporo kontrowersji i krytyki. Szczególnie wiele namietności wzbudził opis gaszenia buntu w jednym z więzień koło Mazar-i Szarif, który obiegł prasę światową. „Bunt rozprzestrzenił się szybko. Jeńcy rzucali się na strażników, zabijali ich i odbierali im broń. Potem opanowali składy amunicji, o które toczyły się najbardziej zacięte bitwy. Więźniowie walczyli tak, jakby nie mieli nic do stracenia. Niektórzy wyważali drzwi i usiłowali uciekać. Korespondent tygodnika «Time», Perry,

⁸ M. Howard, op. cit.; A. Lewis, *If This Means War, Then What Will War Mean?*, „IHT” z 17 września 2001 r.; J.J. Mearsheimer, profesor University of Chicago, pisał: „Amerykanie muszą zmierzyć się z twardymi realiami. Ciężkie siły zbrojne nie są bronią, za pomocą której można wygrać z tym przeciwnikiem. One czynią problem jeszcze gorszym”. W to miejsce sugeruje bardziej selektywne użycie siły, zręczną dyplomację, wywiad oraz cierpliwość i upór. *Heavy Military Force Isn't the Anti-Qaida Remedy*, „IHT” z 5 listopada 2001 r.; J. Hoagland, *Mgła nad Afganistanem*, „Rz” z 23 listopada 2001 r.; *The Clarity of Devastation* (red.), „The Economist” z 1 grudnia 2001 r.; S.A. Weiss, *Saddam's Regime in Iraq Should Be the Next Tyranny to Fall*, „IHT” z 28 listopada 2001 r.; Q. Peel, *The Grey Shades of Terrorism*, „Financial Times”, December 2001.

przypuszcza, że powodem rebelii był strach przed uzbeckim generałem Raszidem Dostumem. W 1996 albo 1997 kazał rozjeżdżać jeńców czołgami. Kiedy 9 listopada zdobył miasto, jego wojska też nie oszczędziły wrogów. Zabito wówczas około tysiąca Pakistańczyków i Arabów. W forcie byli też dwaj pracownicy Czerwonego Krzyża, którzy mieli skontrolować warunki, w jakich przebywają jeńcy. – **To było istne piekło** – mówił potem wstrząśnięty szef misji Czerwonego Krzyża, Simon Brooks. W forcie zostało 12 amerykańskich i brytyjskich żołnierzy z sił specjalnych. Część z nich zajęła się naprowadzaniem samolotów na cele w twierdzy. Amerykanie zaczęli bowiem bombardowanie, by pomóc Sojuszowi (Północnemu – red.) w opanowaniu sytuacji. (...) Gdy zaskoczenie minęło, żołnierze Sojuszu zaczęli tłumić rebelię. Metodycznie i krwawo. Perry widział 300–400 zabitych jeńców. – Celem Sojuszu i Amerykanów jest zabicie wszystkich – mówił w rozmowie telefonicznej z redakcją. Amerykańskie samoloty zrzucały bomby na południową część fortu. W końcu strzały ustały. – Wszyscy zostali zabici, kilku aresztowano – powiedział agencji AP Zaher Wahadat, przedstawiciel Sojuszu Północnego⁹. Brytyjczycy i Amerykanie zablokowali próbę międzynarodowego śledztwa w sprawie wydarzeń w Mazar-i Szarif.

Robert Fisk, znany dziennikarz „The Times” i „The Independent”, napisał później: „Siły powietrzne USA bombardują Mazar-i-Szarif, by ułatwić zadanie Sojuszowi Północnemu, a tymczasem nasi bohaterzy sojusznicy afgańscy, którzy wymordowali 50 tysięcy ludzi w Kabulu w latach 1992–1996, wchodzą do tego miasta i dokonują rzezi trzystu talibów. Potem mamy do czynienia z buntem w więzieniu, który dławią nadzorczy z Sojuszu, przy pomocy sił powietrznych USA i żołnierzy brytyjskich. To skandal. Oddziały brytyjskie noszą teraz na sobie piętno zbrodniarzy wojennych. Co u Boga Ojca stało się z naszym kompasem moralnym po 11 września? Nagle po 11 września zwariowaliśmy. Starliśmy w proch afgańskie wioski wraz z ich mieszkańcami – zrzucając odpowiedzialność za nasze rzezie na obłąkanych talibów i Usamę Ibn Ladina”. Nie możemy w odwecie za mord na naszych ludziach i zniszczenie naszych lśniących budynków wyrzucać do kosza całego ustawodawstwa o prawach człowieka i posyłać bombowców B-52 na tkwiące w nędzy masy, konkludował Fisk. Niektórzy dowódcy afgańskich oddziałów zbrojnych potwierdzali, że Amerykanie nie chcą brać do niewoli poddających się, a walczących wcześniej po stronie talibów arabskich bojowników – „wołają ich zabijać”. Według doniesień prasowych Amerykanie nie reagowali na prośby miejscowych dowódców o zaprzestanie bombardowań wyzwolonych już terenów, od których ginęła ludność cywilna. Szczególne zniszczenia były powodowane potężnymi bombami, zwanymi „ścincaczami stokrotek” (*daisy cutter*), których wybuchy wywoływały efekt trzęsienia ziemi i niszczyły „do zera” wszystko w promieniu kilkuset metrów. Wiele takich bomb zostało zrzuconych na podstawie fałszywych informacji (zwalczający się wzajemnie lokalni dowódcy donosili na rywali do Amerykanów, twierdząc że u konkurenta kryją się resztki talibów). „Żaden kraj na świecie nie jest w stanie zatrzymać

⁹ *To było istne piekło*, „Rz” z 26 listopada 2001 r.

teraz Ameryki”, mówił szef służb bezpieczeństwa wschodniego Afganistanu w wywiadzie dla „International Herald Tribune”. Europejczycy nierzadko krytykowali diabolizowanie przez Amerykanów przeciwnika i wypominali im, że reżim talibów pod względem zakresu swobód nie był ani trochę gorszy od reżimu saudyjskiego. Diabolizowanie ma jedynie usprawiedliwić przyjętą, niszczącą taktykę bombardowań, których ofiarą jest ludność będąca wcześniej ofiarą talibów i Al-Ka’idy, a przywódcy talibów, odpowiedzialni za atak 11 września, zdążyli uciec przed zemstą Amerykanów¹⁰.

O dziwo, większe (niż na tle powyższej kwestii) protesty w Europie i gdzie indziej miały miejsce w związku ze sposobem traktowania przez Amerykanów i planami sądenia pojmanyh talibów i terrorystów z Al-Ka’idy. Protesty zostały wywołane dekretem prezydenta Busha o sądeniu pojmanyh przed niejawnymi amerykańskimi komisjami (trybunałami) wojskowymi oraz stwierdzeniem szefa Pentagonu Rumsfelda, iż jeńcy są „pozbawionymi wszelkich praw bojownikami” (*unlawful combatants*). Opinia międzynarodowa w tej sprawie była dość jednolita. Pojmani w rezultacie działań zbrojnych bojownicy reżimu talibów i Al-Ka’idy są jeńcami (więźniami), którzy są chronieni międzynarodowym prawem humanitarnym (trzecia Konwencja Genewska). Takie było też stanowisko Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża uprawionego do interpretacji konwencji. Podobnie jeśli chodzi o tryb sądenia, nawet w amerykańskim środowisku prawniczym dominował pogląd, że podejrzani mogą być sądeni przed zwykłymi amerykańskimi sądami (tak jak sprawca tragicznego zamachu terrorystycznego w Oklahomie). Ubolewano przy tym, że administracja USA, próbując przeforsować w tej sprawie własne stanowisko (innego zdania był sekretarz stanu C. Powell), popełnia poważny błąd, dając w ten sposób broń do ręki swym przeciwnikom, podważając własną międzynarodową reputację, nie mówiąc już o ledwo skrywanej irytacji wśród sojuszników. „Działając w ten sposób, Waszyngton pokazuje, iż kieruje się bardziej żądzą zemsty niż pragnieniem sprawiedliwości (...) tak przegrywa się walkę o wartości: cywilizowane przeciwko niecywilizowanym”, pisano na łamach „Financial Times”¹¹.

Stanowcza, pełna determinacji, przeprowadzona unilateralnie, z rozmachem, a przy tym w zdyscyplinowany strategicznie i operacyjnie sposób, i przede wszystkim skuteczna, przynajmniej jeśli chodzi o obalenie reżimu talibów i likwidację obozów Al-Ka’idy, operacja „Trwała Wolność” wywarła ogromne

¹⁰ R. Fisk, *Teraz już wszyscy jesteśmy winni*, „The Independent”, za: „Forum” z 10 grudnia 2001 r.; T. Weiner, *Villagers Dying Under U.S. Bombs, Anti-Taliban Forces Say*, „IHT” z 3 grudnia 2001 r., także „IHT” 13 grudnia 2001 r.; J.-F. Kahn, *L’Après–11 septembre: diaboliser n’est pas raisonneur*, „Le Monde” z 7 stycznia 2002 r.

¹¹ P. Stephens, *Losing Ground at Camp X-Ray*, „Financial Times” z 18 stycznia 2002 r.; H. Hongju Koh, *The U.S. Has the Right Courts for a bin Laden Trial*, „IHT” z 1–2 września 2001 r.; A. Roberts, *Apply the Law of War in an Anti-Terror War, Too*, „IHT” z 4 października 2001 r.; Ch. Levandosky, *U.S. Will Be Judged On Captives’ Fate*, „IHT” z 17 stycznia 2002 r.

międzynarodowe wrażenie i osłabiła wiele mniej czy bardziej uzasadnionych krytyk wysuwanych pod adresem Waszyngtonu. Niemniej jednak sami Amerykanie przyznawali, że była to łatwiejsza część obliczonej na lata kampanii przeciwko terroryzmowi. Trudno na jej podstawie formułować uogólnienia odnoszące się do dyskutowanej przy tej okazji, w istocie już od paru lat, problematyki nowych zagrożeń dla bezpieczeństwa, konfliktów nowego rodzaju, sposobów przeciwdziałania i zwalczania takich zagrożeń, sposobów współpracy i wartości instytucji międzynarodowych w tym zakresie, czy wreszcie wniosków dla strategii bezpieczeństwa i sił zbrojnych. Można sobie przecież łatwo wyobrazić inaczej zaplanowaną i przeprowadzoną, a równie skuteczną operację przeciwko talibom i Al-Ka'idzie. Na argument o przesądzającej roli najnowszego sprzętu będącego produktem „rewolucji w sprawach wojskowych” (RMA) można odpowiedzieć, iż wojnę ze średniowiecznymi talibami wygrałoby każde mocarstwo (jego potencjał i technika) z okresu drugiej wojny światowej, czy też brytyjski korpus ekspedycyjny z czasów imperium.

Ta operacja była zanadto amerykańska w sposobie i środkach jej przeprowadzenia, by mogła być podstawą do wniosków o bardziej uniwersalnym charakterze. Zagrożenie, na które odpowiedziała Ameryka, dotyczy jej w nieporównanie większym stopniu niż jakiegokolwiek innego państwa. Doświadczenie dramatu z 11 września oraz samotnej właściwie (nawet jeśli na własne życzenie dla zachowania wolnej ręki) walki USA z zagrożeniem międzynarodowego terroryzmu nie może jednak pozostawić obojętnym żadnego państwa¹². Czy od 11 września wchodzimy w cykl, który będzie się charakteryzował powrotem do siły zbrojnej (wojny) jako środka regulacji życia międzynarodowego, a zatem niezależnie od „amerykańskiego” charakteru wojny w Afganistanie, będziemy musieli podążyć za Ameryką, przynajmniej jeśli chodzi o strategię bezpieczeństwa narodowego? Chodzić tu może m.in. o bardziej zrównoważone rozłożenie potencjału w ramach tryptyku: klasyczne siły zbrojne (obrona) – siły szybkiego reagowania (bezpieczeństwo międzynarodowe) – nowoczesna obrona terytorialna (bezpieczeństwo wewnętrzne w kontekście różnych rodzajów zorganizowanej przestępczości, w tym terroryzmu).

Pierwsza wojna XXI wieku to nie tylko doświadczenie o charakterze wojskowym czy polityczno-strategicznym. Jest ona bogata w rozmaite implikacje

¹² B. Misztal (profesor z jednego z waszyngtońskich uniwersytetów) twierdzi, iż cechą pierwszej wojny obecnego wieku jest przypadkowość i masowość ofiar, a także kompletna nieprzewidywalność. W końcu października 2001 r. prof. Misztal pisał: „Obecna wojna przypomina pogoń za lisem, a stratedzy i politycy już dzielą skórę na niedźwiedziu, zastanawiając się, czy Osama bin Laden powinien być osądzony i skazany, czy też należy mu spontanicznie wymierzyć sprawiedliwość. Ale czarny scenariusz zakłada, że przywódca i strateg tej wojny może się odradzać. Struktura grup terrorystycznych przypomina tkankę rakową i jest w stanie produkować śmiertelne komórki, mimo że część tkanki wycięto. Dlatego debata nad czarnym scenariuszem nie ma na celu wprowadzenia paniki w społeczeństwie, ale powinna prowadzić, jak w onkologicznej terapii, do przyjęcia strategii, która wykraczałaby poza zniszczenie jednej tkanki”. *Czarny scenariusz*, „Rz” z 29 października 2001 r.

międzynarodowe, które będą rzutować na cechy porządku międzynarodowego w nadchodzących latach.

PORZĄDEK MIĘDZYNARODOWY DO REWIZJI?

Trzeba mieć nadzieję, że 11 września nie był ani zakończeniem jednej, ani też otwarciem kolejnej ery w stosunkach międzynarodowych. W ostrzejszym świetle zostały postawione jednak schorzenia obecnego porządku międzynarodowego. Ponadto operacja afgańska Stanów Zjednoczonych i bardziej długofalowa konieczność przeciwstawienia się zagrożeniu terrorystycznemu wnoszą pewne cechy i zjawiska (również te, znane z przeszłości, o których wolelibyśmy zapomnieć), które będą wymuszać nie zawsze korzystne przewartościowania instytucji, reguł i czynników organizujących dotąd stosunki międzynarodowe. Można wyodrębnić przynajmniej trzy duże grupy zagadnień międzynarodowych, w odniesieniu do których atak z 11 września oraz jego implikacje mogą mieć poważne następstwa: po pierwsze, rola instytucji wielostronnych w rodzaju ONZ oraz prawa międzynarodowego, po drugie, znaczenie czynnika siły i mocarstwowości w życiu międzynarodowym, po trzecie, procesy globalizacji i rola państwa w tych procesach.

1. W gronie analityków i komentatorów panuje wyraźna zgoda, iż w rezultacie międzynarodowej kampanii antyterrorystycznej doszło do marginalizacji ONZ jako uniwersalnego systemu bezpieczeństwa. Podobnie było w kontekście wojny NATO przeciwko Jugosławii. Pokojowy Nobel 2001 dla organizacji i jej sekretarza generalnego nie powinien nikogo mylić. Był to raczej Oskar „za całokształt” niż za dokonania ostatnich lat. Społeczność międzynarodowa musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy akceptuje fakt, że ONZ staje się „listkiem figowym” dla działań podejmowanych przez wielkie mocarstwa. Trzeba powiedzieć, iż udaje im się zrećnie trzymać ONZ „na dystans”, tak aby organizacja zanadto nie krępowała im rąk. Zasadna w tej sytuacji jest troska o to, czy ze względu na postępującą nierzecelwantność systemu NZ nie stoimy w obliczu fragmentacji systemu uniwersalnego, zwłaszcza w sferze bezpieczeństwa międzynarodowego. Jeśli tak, to trzeba się zastanowić: co, jeśli nie NZ? Z powyższym łączy się pytanie o perspektywy prawa i instytucji międzynarodowych jako elementów spajających społeczność międzynarodową.

Z tego punktu widzenia stoimy w obliczu trzech rozbieżnych tendencji: po pierwsze, rosnącego lekceważenia norm i instytucji międzynarodowych przez USA (niezwracania na nie uwagi); po drugie, stale podwyższających się standardów wewnętrznych (gospodarczych, politycznych, społecznych, prawnych) UE oraz po trzecie, niemożności sprostania normom uniwersalnym lub ich kontestacji przez wiele państw Południa. Utrzymanie się tych tendencji grozi destabilizującym systemem międzynarodowym żywiołowym „rozsypaniem się” społeczności międzynarodowej na regiony o bardzo zróżnicowanych standardach nie tylko materialnych, jak jest to dzisiaj, ale także pod względem norm prawnych i politycznych, które do tej pory uchodziły za uniwersalne. Prawdziwa erupcja antyokcydentalizmu, właśnie w sferze kulturowej, w sferze wartości, miała miejsce w czasie

światowej konferencji pod egidą ONZ na temat rasizmu i ksenofobii w Durbanie, w sierpniu 2001 r. W interpretacji krajów Południa, zwłaszcza afrykańskich i islamskich, lansowanie przez Zachód wartości i standardów liberalnych, związanych z demokracją i prawami człowieka, jest niczym innym jak kulturową agresją czy westernizacją, w której chodzi wyłącznie o dominację polityczną i gospodarczą. Bezprecedensowo konfrontacyjny przebieg tej konferencji był niejako ideowym tłem dla reakcji, w postaci niesłuchanego aktu terroru, na kulturową i ekonomiczną ofensywę Zachodu. W bardziej przesadnych interpretacjach konferencja w Durbanie jawi się zapowiedzią nowej zimnej wojny, wojny Zachodu z resztą świata (*the West and the Rest*). Nie jest to wprawdzie jeszcze sytuacja zderzenia cywilizacji, lecz pewnego ich rozchodzenia się w płaszczyźnie kulturowej, mimo licznie spajających je więzów w sferze gospodarczej czy komunikowania.

Zauważa się przy tej okazji niekiedy, że dialog i partnerstwo między Zachodem a innymi systemami cywilizacyjnymi przetrwa jedynie wtedy, gdy Zachód zaakceptuje w ramach globalnej współpracy współistnienie różnych systemów społecznych, także mocno odmiennych od zachodniego wyobrażenia o tym, co dobre i zasługujące na akceptację. Stąd też w wielu analizach wydarzenia z 11 września pokazały, że proklamacja istnienia „wspólnoty międzynarodowej” była mocno przedwczesna; zadanie budowy takiej wspólnoty jest – jak słusznie zauważył francuski minister spraw zagranicznych Hubert Vedrine – dopiero przed nami. Kraje Unii Europejskiej – jak się zdaje – akceptują wizję regionalizacji czy też fragmentacji świata. Taką wizję przedstawił nam w Warszawie 23 października 2001 r. premier Belgii, która przewodniczyła w tym czasie UE. Jego zdaniem „nowy porządek światowy ustanowiony i chroniony przez USA okazał się złudzeniem”. Trzeba zatem wybrać „nową, pośrednią drogę” do światowego ładu. Trzeba „szukać alternatywy dla porządku, w ramach którego USA same podejmują decyzje i wcielają je w życie; trzeba znaleźć silniejszą i skuteczniejszą formułę niż ONZ, złożona ze 189 suwerennych państw”. Tą drogą, zdaniem Guy Verhofstadta, jest „reorganizacja świata na bazie istniejących organizacji współpracy regionalnej”. Belgijski premier przyznał nawet, że ma świadomość „pewnego ryzyka, jakie taka formuła w sobie zawiera...”. A więc, „Europa, do tej pory szermierz idei uniwersalizmu, jako pierwsza gra sygnał do odwrotu...”¹³.

2. Nieuchronną konsekwencją odsunięcia na drugi plan instytucji wielostronnych jest zwiększenie roli mocarstw jako czynników organizujących i stabilizujących porządek międzynarodowy. Impulsem do zarysowania się takiej tendencji było początkowe podejście Amerykanów do operacji afgańskiej i walki z terroryzmem, którego oparciem nie stało się ONZ czy NATO, lecz doraźna, heterogeniczna koalicja państw, w tym mocarstw, które Waszyngton pragmatycznie uznał za najbardziej pomocne w tej walce. Było to, jak twierdzi prezes Fundacji im. Stefana Batorego Aleksander Smolar, podejście szeryfa, który szukając zbiegłego mordercy, angażuje do grupy pościgowej „wszystkich zdolnych do noszenia

¹³ Tekst przemówienia zatytułowanego *Nowy ład świata*, „Gazeta Wyborcza” z 24 października 2001 r.; wywiad z H. Vedrinem w „Le Nouvel Observateur” z 6–12 grudnia 2001 r.

broni”, nie zwracając uwagi na to, że wśród nich mogą być także ludzie o wątpliwej reputacji. Zdaniem znanego specjalisty z dziedziny studiów strategicznych Edwarda Luttwaka, zapowiada to prawdziwą rewolucję geopolityczną, gdyż międzynarodowa koalicja antyterrorystyczna stanowi załóżek ładu międzynarodowego XXI wieku. Wątpiący czy zgłaszający zastrzeżenia co do metod walki z terroryzmem będą z niej wykluczeni. A zatem akceptujący amerykańskie podejście Pekin czy Islamabad ma szansę być bliższym sojusznikiem Waszyngtonu niż Paryż. Oznacza to ewolucję świata w kierunku swoistego koncertu mocarstw. Nie takiego, jak w Europie XIX wieku, kiedy istniał mechanizm równowagi, lecz mocarstw akceptujących bezwarunkowo przywództwo Ameryki, która pozostawia im zarazem swobodę „stabilizowania” sytuacji w ich otoczeniu. Lider ceduje na współpracujące z nim mocarstwa „odpowiedzialność” za bezpieczeństwo w ich regionach – strefach wpływów. Będą one mogły wykorzystywać tę sytuację do realizacji własnych, regionalnych interesów mocarstwowych. Przepustką do zaufania Ameryki nie będą demokracja i prawa człowieka, lecz udział w prowadzonej przez nią walce z terroryzmem. Jest to zjawisko niekorzystne z perspektywy państw mniejszych i słabszych, które znajdowały ochronę w prawie i instytucjach międzynarodowych.

Wzorem dla innych mocarstw dopuszczonych do koncertu będzie postępowanie samej Ameryki. Najbardziej charakterystyczne w tym kontekście są dwie cechy takiej polityki. Pierwszą jest unilateralizm, o czym wcześniej była mowa. Po 11 września mogło się wydawać, iż unilateralna do tej pory Ameryka zwróci się bardziej ku instytucjom wielostronnym, pragnąc zapewnić sobie ich udział w kampanii antyterrorystycznej. Stało się coś wręcz przeciwnego – nastąpiło w niespotykanym wcześniej stopniu radykalne pogłębienie unilateralizmu, którego doktrynalnym wyrazem było doroczne orędzie prezydenta Busha, wygłoszone 29 stycznia 2002 r. W swym orędziu prezydent USA nie wymienił żadnej organizacji międzynarodowej (ani ONZ, ani NATO), zaś wśród wymienionych z nazwy państw (mocarstw) partnerów Ameryki znalazły się jedynie Chiny, Rosja i Indie.

Drugą cechą tego podejścia jest wzrost znaczenia czynnika siły czy wręcz fetyszyzacja siły militarnej jako środka zapewniania sobie bezpieczeństwa, w tym zagwarantowanie swobody w posługiwaniu się siłą zbrojną w polityce zagranicznej. Następuje powrót do militaryzacji bezpieczeństwa narodowego. W przypadku USA dało to o sobie znać w wychodzeniu przez Stany z różnych reżimów dwu- i wielostronnych ograniczających zbrojenia i kontrolę zbrojeń. Przykładami są wycofanie się z układu ABM (z 1972 r.) i różnych istniejących bądź negocjowanych porozumień o takim charakterze w ramach ONZ-owskiej Konferencji Rozbrojeniowej, głośne rozważanie zamiaru powrotu do podziemnych prób nuklearnych (zakazanych przez układ CTBT, który nie może wejść w życie ze względu na jego odrzucenie przez Senat USA) i wreszcie przyspieszenie prac w ramach programu *Missile Defense* (MD). **Atak terrorystyczny z 11 września raczej dowodzi, iż projekt MD jest takim samym anachronizmem jak francuska linia Maginota** (będąca odpowiedzią na doświadczenie pierwszej wojny światowej). Nie dla administracji Busha, dla której 11 września był argumentem na

rzecz wzmocnienia prac nad obroną przeciwrakietową. Militaryzacja polityki bezpieczeństwa w przypadku USA znajdowała również wyraz w skokowym wzroście wydatków na zbrojenia oraz w odzyskaniu pozycji kręgów wojskowych w amerykańskiej polityce; tych samych, które były w niej obecne w okresie administracji Reagana i Busha seniora. Ostateczny rezultat jeden z badaczy ujął następująco: panuje ogólne odczucie, że Ameryka się wycofuje, a świat pozostaje sam na sam z amerykańską hegemonią militarną bez amerykańskiego partnerstwa. Jedne państwa (sojusznicy z NATO) są przynaglone przez Waszyngton do wzrostu wydatków na zbrojenia, inne – jak Chiny czy Indie – będą próbowały podążać za tym przykładem.

Zdecydowanie na dalszym planie znalazły się kwestie praw człowieka i demokracji, na czym skorzystały takie państwa jak Rosja, dla której postawy w Czeczenii Stany Zjednoczone znalazły (ustami Condoleezy Rice) sporo zrozumienia. Nawet w krajach arabskich pod pretekstem zwalczania terroryzmu autorytarne rządy zaczęły z większą bezwzględnością traktować wszelkich opozycjonistów. Problem fetyszyzacji czynnika siły zbrojnej i swobody jej stosowania wiąże się w kontekście praw człowieka z coraz większymi stratami wśród ludności cywilnej przy okazji różnych interwencji i konfliktów zbrojnych. Stosunek liczby ofiar wśród ludności cywilnej do ofiar wśród żołnierzy zmienia się na niekorzyść tej pierwszej, co jest jakimś symptomem „odrotu od cywilizacji”. Zarówno interwencji, jak i bojownicy przestają się przejmować rygorami Konwencji Genewskich, skoro ich „sprawa jest słuszna”, na przykład walka z szatanem (dla ekstremistów islamskich są nim USA), przerwanie dramatu humanitarnego czy zwalczanie terroryzmu; zaczyna triumfować prawo silniejszego. Czerwony Krzyż przypominał niedawno, iż w kolejnych miesiącach po zakończeniu wojny o Kosowo zginęło tam kilkaset osób, w większości dzieci poniżej 14. roku życia, na skutek wybuchów pocisków z bomb kasetonowych zrzuconych wcześniej przez lotnictwo NATO. W znacznie większym stopniu, jak pokazują raporty organizacji pozarządowych, dotknie to ludności Afganistanu. Swoboda działania sił pokojowych, które pojawiły się w Afganistanie pod egidą ONZ, została znacząco ograniczona na rzecz kontynuujących swą operację długo po upadku talibów specjalnych oddziałów USA. Utrudniało to siłom pokojowym zapewnianie porządku w dotkniętym chaosem i walkami plemiennymi Afganistanie¹⁴. Zarówno metody bieżącej walki z terroryzmem (wprawdzie niekiedy trudne do zaakceptowania przez opinię publiczną, lecz konieczne), jak i bardziej całościowa i długofalowa koncentracja na sprawach bezpieczeństwa sprawiają, iż kwestie praw człowieka i demokracji znikają z listy priorytetów polityki zagranicznej państw zachodnich. Eksperci i organizacje pozarządowe twierdzą, że 11 września skończyła się era praw człowieka w polityce międzynarodowej¹⁵.

¹⁴ E. Luttwak, *Nowe oblicze świata*, wywiad dla „l'Express”, za: „Forum” z 22 października 2001 r.; D.M. Malone, *When America Banged the Table and the Others Fell Silent*, „IHT” z 11 grudnia 2001 r.; W. Pfaff, *In Its Quest for Supremacy, U.S. May Squander Partnerships*, „IHT” z 15–16 grudnia 2001 r.; *Defence Folly* (red.), „The Economist” z 8 września 2001 r.; T. Jiaxuan, *U.S. Missile Defense Compromises Global Security*, „IHT” z 30 marca 2001 r.

¹⁵ M. Ignatieff, *Will the Quest for Security Kill the Human Rights Era?*, „IHT” z 6 lutego 2002 r.

Rozważając zupełnie niezwykle wzrost potęgi militarnej Stanów Zjednoczonych i jej konsekwencje międzynarodowe, prof. Paul Kennedy pisze m.in.: „Wbrew deklarowanej zgodnie z duchem republikańskiej demokracji niechęci do silnego rządu budżet militarny USA jest większy niż nakłady na obronę dziewięciu kolejnych największych na liście wydatków wojskowych państw razem wziętych. Tylko nieliczni Amerykanie zdają sobie z tego sprawę. **Wydatki USA w tym zakresie wynoszą 36 do 40% światowych wydatków na obronę. Nigdy wcześniej w historii nie było takiej dysproporcji sił, nigdy!**”, podkreśla z naciskiem prof. Kennedy. Zastanówmy się, zachęca Kennedy, jakie to ma konsekwencje dla świata i dla samej Ameryki. Co oznacza dla spraw światowych obecność takiego giganta pomiędzy nami? Po pierwsze, co to oznacza dla innych państw? Po drugie, jakie są implikacje takiej sytuacji dla organizacji międzynarodowych, zwłaszcza tych, które jak ONZ czy NATO zajmują się pokojem i bezpieczeństwem międzynarodowym? Wreszcie, co to oznacza dla amerykańskiej demokracji? Jej założyciele przestrzegali przed angażowaniem się Ameryki w sprawy odległych regionów, a teraz niepostrzeżenie Ameryka stała się żandarmem świata. Towarzyszy temu niemal nieuchronnie „arogancja siły”, przed którą również przestrzegali Amerykę w przeszłości jej liderzy. Na konsekwencje tego ostatniego zjawiska zwraca uwagę **Salman Rushdie. Jego zdaniem jesteśmy świadkami narodzin nowego ideologicznego adwersarza Ameryki, co najmniej tak trudnego jak wojujący islam, a mianowicie antyamerykanizmu, który krzewi się w niemal wszystkich zakątkach świata.** Osobliwością w opinii Rushdiego jest zachodni antyamerykanizm, o wiele bardziej spersonalizowany niż islamski, który nie znosi „jedynie” amerykańskiej arogancji i sukcesu¹⁶.

Ilustracją rezultatu postawienia niemal wyłącznie na siłę militarną w dążeniu do zapewnienia sobie bezpieczeństwa jest w mniejszej, choć w dalszym ciągu groźnej dla świata skali przebieg konfliktu izraelsko-palestyńskiego w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Ten konflikt jest także asymetryczny. Po jednej stronie mamy nowoczesne, świetnie zorganizowane i uzbrojone państwo, po drugiej – już nie władze Autonomii Palestyńskiej, lecz niekontrolowane przez nie grupki fanatycznych bojowników lub wręcz pojedynczych zamachowców-samobójców. Odpowiedzią na krwawe, desperackie ataki bojówkarzy są przeprowadzane z zimną precyzją akcje odwetowe przy użyciu najnowszego sprzętu wojskowego. Paradoks postępowania premiera Szarona polega na tym, iż jego akcje odwetowe wymierzone są nie w bezpośrednich sprawców (oni często giną samobójczo w chwili zamachu), lecz we władze i instytucje Autonomii, co osłabia możliwości ich skutecznego przeciwdziałania kolejnym zamachom. Izraelskie akcje odwetowe także powodują śmierć niewinnych cywilów, w tym wielu dzieci. Do tego dochodzi rozmyślnie niszczenie infrastruktury cywilnej, również domów mieszkalnych. Wszystko to jest sprzeczne z międzynarodowym prawem humanitarnym. Szaron nie zgadza się na rozmieszczenie obserwatorów

¹⁶ P. Kennedy, *The Eagle Has Landed*, „Financial Times” z 2–3 lutego 2002 r.; S. Rushdie, *America and Anti-Americans*, „The New York Times” z 4 lutego 2002 r.

międzynarodowych na terytorium Autonomii. Zabójcza spirala zamach–odwet zdaje się nie mieć końca; pogłębia jedynie pokłady wzajemnej nienawiści, oddalając perspektywę pokojowej regulacji konfliktu. Palestyńczycy są wprawdzie coraz dalsi od własnego państwa, lecz Izrael stanął po raz pierwszy wobec problemu przetrwania jako państwo. Oparcie się na nagiej sile przez obie strony konfliktu (po stronie palestyńskiej nawet nie legalnych władz Autonomii, lecz wymykających się spod ich kontroli terrorystów i bojówkarzy) w dążeniu do swych celów okazało się ślepą uliczką. Kolejny, chociaż jedynie pozorny paradoks tkwi w tym, iż jak zauważyli obserwatorzy, rok władzy Szarona, który postawił na siłowe zapewnienie bezpieczeństwa, przyniósł samemu Izraelowi największy rozlew krwi w ciągu ostatniego pokolenia. Istotnym kontekstem dla takiego rozwoju sytuacji jest wycofanie się Ameryki Busha z aktywnego udziału w poszukiwaniu pokojowej regulacji problemu; podjęta wcześniej (latem 2000 r.) przez Clintona niefortunna próba przymuszenia stron do zawarcia porozumienia, które miało mu zapewnić pozytywne miejsce w podręcznikach historii, doprowadziła jedynie do zaognienia sytuacji¹⁷.

3. Wśród „ofiar” 11 września wymienia się również często procesy globalizacji. Oznaki rosnącego sceptycyzmu i opozycji wobec globalizacji pojawiły się już nieco wcześniej, jednak poszukiwanie głębszych źródeł zaprowadziło wielu do negatywnych efektów ubocznych tego procesu, które już od pewnego były przedmiotem krytyki, a którą entuzjastyczni prorocy globalizacji dotąd ignorowali lub zbywali śmiechem. Na dwie kwestie w tym kontekście należy zwrócić uwagę: po pierwsze, na destabilizujące ekonomiczne, społeczne i kulturowe konsekwencje globalizacji; po drugie, na rolę państwa w kontekście tych procesów.

Zarówno adwokaci, jak i przeciwnicy globalizacji raczej zgadzają się co do tego, że przyszłość tych procesów stanęła pod znakiem zapytania, a ich kierunek i wiele zagadnień wymaga przewartościowań. John Gray twierdzi, że „już jest po globalizacji, gdyż wolnorynkowa wiara w globalizację stopniała”. Harwardzki autorytet w tej sprawie, Dani Rodrik, uznał, że argentyńskie załamanie „jest lekcją pokory w kontekście rozważań o ekonomicznych granicach globalizacji w świecie politycznej suwerenności”. Oceny są niekiedy do tego stopnia pesymistyczne, że odwołują się do początku XX wieku, aby przypomnieć, że globalizacja jest odwracalna (kolejne wojny światowe, ekonomiczny nacjonalizm). Na poparcie tych ocen przywołuje się równoczesną stagnację najważniejszych gospodarek (po raz pierwszy od bardzo długiego czasu), odpływ kapitału z grupy 29 „wschodzących gospodarek” i załamanie się bezpośrednich inwestycji kapitałowych w tych krajach. Wyraźnie widać, iż globalna integracja jest zjawiskiem selektywnym i wysoce nierównym. Według danych Banku Światowego, w ciągu ostatnich 20 lat poziom dochodu narodowego i wielkość handlu w 24 ważnych krajach rozwijających się (3 mld ludzi) istotnie wzrosły, podczas gdy wielu krajach zamiesz-

¹⁷ Z. Brzeziński, *Wanted: A U.S. Blueprint for a Middle East Peace*, „IHT” z 26–27 stycznia 2002 r.; L. Hockstader, *Sharon's Year in Power Has Been Israel's Bloodiest in a Generation*, „IHT” z 7 lutego 2002 r.

kiwanych w sumie przez 2 mld ludzi zmniejszył się dochód i obroty handlowe, a w konsekwencji nastąpiło zubożenie ludności. Obecna sytuacja gospodarcza świata pociąga za sobą ryzyko utrwalenia marginalizacji tych państw. Wprawdzie rozpoczęta w listopadzie ubiegłego roku w Doha nowa runda negocjacji handlowych (w ramach WTO) ma w założeniu przynieść korzyści przede wszystkim krajom rozwijającym się, nie brak jednak poważnych głosów sceptycyzmu wskazujących na powody, dla których tak się zapewne nie stanie. Do tego dochodzi stałe zmniejszanie się pomocy finansowej bogatych dla biednych oraz stopniowe ograniczanie przepływu siły roboczej z krajów biednych do bogatych, które przynosiło znaczące dochody tym pierwszym (transfer części zarobków)¹⁸.

Od 11 września zaczęto łączyć negatywne następstwa globalizacji z bezpieczeństwem międzynarodowym. **„Największym zagrożeniem dla pokoju światowego w nadchodzących latach będą nie irracjonalne działania państw czy jednostek, lecz uzasadnione żądania wywłaszczonych tego świata (...)**. Jedyna nadzieja dla przyszłości leży w kooperatywnej międzynarodowej akcji, która będzie mieć demokratyczną legitymizację (...). Nie możemy się wykazywać taką ślepotą jak francuska klasa rządząca w XVIII wieku: posiadacze bogactwa i władzy ubogim pozostawiali jedynie nadzieję” – czytamy w oświadczeniu przyjętym przez ponad 100 noblistów z okazji setnej rocznicy ustanowienia nagrody. Dlaczego należy wziąć ten głos pod uwagę, pyta John Polanyi. Ponieważ „zdolność do dostrzegania prawdy tkwi nie w inteligencji, lecz w poczuciu wartości”. Przeświadczenie liberałów i konserwatystów o tym, iż po upadku komunizmu kapitalizm zatriumfuje całkowicie i ostatecznie, przenosząc nas (może nie wszystkich i nie od razu) do „nowego wspaniałego świata”, po 11 września otwarcie nazywano **„utopia głupców”**. Pisano, że od 1989 r. świat zachodni pławił się w samozadowoleniu. Jego ideolodzy wierzyli, że w ramach rozszerzającego się *pax americana* znikną raz na zawsze nierówności, bieda, degradacja środowiska naturalnego, dyskryminacja kobiet, wyzysk dzieci, nieuleczalne choroby oraz stare i nowe zarzewia konfliktów. Okazało się, że ten system nie zdołał zapewnić dobrobytu wszystkim, a coraz bardziej nierówny rozwój jest jego nieodłączną cechą. Systemy społeczne – konstatawał przy tej okazji Nicolas Sartorius – trwają dopóty, dopóki są w stanie wytwarzać bogactwa przy utrzymywaniu minimum ładu (spójności) społecznego. Globalizacja, w jej dotychczasowym wydaniu, tego nie zapewnia. Ubóstwo będące produktem globalnej gospodarki – wtóruje mu Malloch Brown, szef UNDP – jest pożywką dla międzynarodowych patologii, poparcia dla terroryzmu, przemytu, masowych migracji i rozprzestrzeniania się epidemii chorób zakaźnych. Jeśli dochodzi do tego czynnik cywilizacyjny czy religijny, w którym biedni i zmarginalizowani widzą jedyną osłonę dla swej tożsamości, wtedy istotnie – ostrzega John Gray – stoimy u progu zderzenia cywilizacji. W takiej sytuacji mniej ważne jest, jego zdaniem, natarczywe upowszechnianie praw człowieka czy liberalnej demokracji. Ważniejsze staje się, i wokół tego zaczyna narastać zgoda, zwrócenie uwagi na to, co dotychczas było

¹⁸ *Is It at Risk? Special Report on Globalization*, „The Economist” z 2 lutego 2002 r.

ignorowane przez takich adwokatów globalizacji, jak Bill Gates, dla których rozumienie świata kończyło się na granicach cyberprzestrzeni, postęp zaś mierzony był wzrostem pojemności twardego dysku i nowymi funkcjami komputera (na przykład obsługą lodówek). Globalizacja nie może ograniczać się do rynku, deregulacji i coraz bardziej wydajnego zarządzania globalnymi interesami kilkudziesięciu korporacji z kilkunastu najwyższej rozwiniętych krajów świata. Muszą zostać uwzględnione w tych procesach aspekty polityczne, społeczne i kulturowe. Niezbędna jest „humanizacja mondializacji” (H. Vedrine), a priorytet powinien być przyznany walce z ubóstwem i marginalizacją („wyłączeniem”).

Pod tym względem najdalej posunięta zgoda panowała w grupie szefów głównych agend i organizacji wyspecjalizowanych NZ. Jej rzecznikiem zdawał się być cytowany wcześniej szef Banku Światowego, James D. Wolfensohn. Jego program to: 1) zwiększenie pomocy międzynarodowej, 2) ograniczenie barier w handlu na rzecz państw ubogich („runda rozwoju”), 3) ukierunkowanie pomocy rozwojowej na upodmiotowienie jej beneficjentów, 4) rozszerzenie międzynarodowego współdziałania w kwestiach o charakterze globalnym. Amerykanom wręcz powiedziano, że bezpieczeństwa nie można sobie zapewnić, odwracając się od świata, odgradzając się odeń wysokim murem lub ograniczając się do rozbudowy potencjału militarnego („**guns can't do everything!**”). Nie jest jednak wcale pewne, czy po 11 września nastąpi taka zmiana w podejściu do sensu globalizacji, która będzie polegać na ograniczeniu żądzy zysku, zdobyczy i ekspansji jednych na rzecz szerszego uwzględnienia interesów państw, społeczeństw, regionów słabiej rozwiniętych. Przeciwno dotychczasowej żywołości globalizacji opowiedział się również Jeffrey D. Sachs. Jego zdaniem „wymaga ona międzynarodowej pieczy i opieki rządów. Globalizacja nie może funkcjonować bez międzynarodowego prawa i międzynarodowych instytucji”¹⁹.

W swej najnowszej książce, wydanej jeszcze przed 11 września, **H. Kissinger** pisał: „Wielu poważnych obserwatorów wierzy, iż wzrost gospodarczy i nowe technologie informatyczne przeniosą świat mniej lub bardziej automatycznie w erę globalnego dobrobytu i politycznej stabilności. **Jest to czystą iluzją.** Światowy porządek wymaga konsensusu wokół założenia, iż różnice pomiędzy uprzywilejowanymi a ubogimi, którzy są jednak w stanie zachwiać stabilnością i postępem, są tego rodzaju, że ci upośledzeni, podejmując własny wysiłek, dostrzegają szansę poprawy swojej sytuacji. W przeciwnym wypadku zaburzenia, w ramach i pomiędzy społeczeństwami, są nieuniknione”. Po ataku terrorystycznym na Amerykę ten być może najwnikliwszy obecnie znawca życia międzynarodowego dodał: **„11 września położył kres głoszonym przez zadowolonych z siebie ideologów**

¹⁹ Tekst oświadczenia noblistów w „IHT” z 11 grudnia 2001 r.; *Does Inequality Matter?*, „The Economist” z 15 czerwca 2001 r.; D. Johnston, *Making Trade Liberalization Work Against World Poverty*, „IHT” z 25 października 2001 r.; J.D. Wolfensohn, op. cit.; N. Sartorius, *Utopia głupców*, „Forum” (za: „El Pais”) z 7–13 stycznia 2002 r.; J.D. Sachs, *Siedmiomilowe kroki*, „Rz” z 12 grudnia 2001 r.; M. Elliot, *After the Guns Are Silent*, „Time” z 7 stycznia 2002 r.; U. Beck, *Globalization's Chernobyl*, „Financial Times” z 6 grudnia 2001 r.; P. Krugman, *We May Be Raising the Lid on Crony Capitalism in America*, „IHT” z 16 stycznia 2002 r.

globalizacji iluzjom o zastąpieniu polityki międzynarodowej globalną ekonomią i Internetem". Wiąże się z tym kwestia powrotu do państwa. Państwa, odsuwane przez dekady na margines, traktowanego przez wielu jako przeszkadzająca i coraz bardziej anachroniczna jednostka polityczno-organizacyjna, która powinna zrobić miejsce logice ekonomii, rynku, wydajności, innymi słowy – „postępu”. W największym stopniu widać to zresztą w wydaniu Stanów Zjednoczonych, które dotąd nie tylko głosiły ideologię „obumierania państwa”, lecz także starały się wymusić na rządach innych krajów pozbywanie się suwerenności, deregulację, otwieranie granic, przekazywanie różnych funkcji administracji publicznej rynkowi, czyli także zagranicznym korporacjom („przecież one zrobią to taniej”). Radykalnie ujął problem nie kto inny jak szef doradców ekonomicznych prezydenta Clintona, ubiegłoroczny noblista Joseph Stiglitz, który napisał: „Patrząc z dzisiejszej perspektywy, szczególnie absurdalne wydają się niektóre poczynania administracji zarówno Busha, jak i Clintona, stanowiące odzwierciedlenie poglądów fundamentalistów rynkowych z całego świata – a nawet idące dalej niż one. Nie miała sensu «prywatyzacja» tak istotnych dla interesu publicznego dziedzin jak bezpieczeństwo portów lotniczych”. Nie miało sensu również odrzucenie wypracowanego w ramach OECD porozumienia dotyczącego walki z praniem brudnych pieniędzy. Różne takie inne przypadki (w tym skandal wokół realizacji przez sprywatyzowaną korporację porozumienia o odbieraniu od Rosjan materiałów jądrowych) wskazują – zdaniem Stiglitz – iż „amerykańscy sekretarze skarbu stawiali interesy Wall Street ponad interesami narodowymi”. Spektakularny upadek Enronu był zaś ilustracją kwitającego w USA *crony capitalism* (kapitalizmu koleśiów), o który z zawziętą hipokryzją Amerykanie wcześniej oskarżali Azję Wschodnią. Stiglitz konkluduje: „Stany Zjednoczone są orędownikiem globalizacji. Teraz jednak powinny one przyjąć do wiadomości, że skutki globalizacji ponosi cały świat i że ta współzależność oznacza potrzebę wspólnego podejmowania decyzji”²⁰.

11 września okazał się również powrotem do państwa silnego wewnątrz i na zewnątrz – w stosunku do innych podmiotów politycznych czy ekonomicznych. „Terrorystom – trafnie zauważa znany francuski analityk Dominique Moïsi – udało się uczynić ponownie państwo, a nie korporację, kluczowym aktorem. Tchnęli oni także nowego ducha w stare narody. Ten konflikt dotyczy bardziej uczuć i emocji niż interesów strategicznych”. Najwyraźniej ten powrót do tradycyjnych wartości był widoczny u Amerykanów – zawsze zresztą bardziej patriotycznych niż inne narody. Obserwatorzy nie bez ironii zauważali, iż ponowne emocjonalne zjednoczenie Ameryki dokonało się wokół jej hymnu, sztandaru i prezydenta; w odstawkę poszli bohaterowie i gwiazdy sprzed 11 września – prezesi Microsoft, CNN, królowie i królowe rozrywki i kultury masowej.

Trudno powiedzieć, jak długo będzie trwał zapoczątkowany po 11 września „powrót do państwa”. Atak na Amerykę ujawnił **narastające i bardziej długofalowe**

²⁰ H. Kissinger, *Does America Need a Foreign Policy? Towards a Diplomacy for the 21st Century*, „Nowy Jork” 2001; J. Stiglitz, *Potrzeba zmiany priorytetów*, „Rz” z 12–13 października 2001 r.; D. Moïsi, *France and the Fighting Spirit*, „Financial Times” z 24 listopada 2001 r.; R. Tomkins, *Back to the Future*, „Financial Times” z 3–4 listopada 2001 r.

zjawisko – zagrożenie ze strony tak zwanych upadłych państw (*failed states*). W świecie pojawia się bowiem nowa linia podziału: na państwa i niepaństwa. Te drugie to formalnie uznawane państwa, faktycznie istniejące jedynie na mapie. Jednak w rzeczywistości każdy z elementów prawdziwego państwa (władze, ludność, terytorium) w tym przypadku budzi wątpliwości. Niekontrolowane przez zwalczające się lub wątłe władze terytorium, dodatkowo targane konfliktami, otwarte na różne migracje i uchodźstwo, jest idealnym schronieniem dla terrorystów, bojowników różnych spraw, zwyczajnych kryminalistów i band terroryzujących ludność i żyjących z przemytu bądź przechwytywania pomocy międzynarodowej. Takich „państw” pojawia się coraz więcej. Przechodzą one na garnuszek „społeczności międzynarodowej”, która nie ma recepty ani środków na uzdrawianie każdorazowo innej sytuacji. Pozostawione sobie generują konflikty, są bazą dla terrorystów, destabilizują regiony. Z reguły są to państwa powstałe sztucznie, to znaczy w rezultacie procesu dekolonizacji, na terytorium nakreślonym przez byłą kolonialną metropolię, która dowolnie scalała administracyjnie podbity obszar, dokonywała destrukcji integrujących dotąd tamte ludy więzów, wartości i instytucji, a następnie pozostawiała dane terytorium, którego nierzadko jedynym elementem łączącym była narzucona z zewnątrz granica. Bez wątpienia, jest w tym zjawisku obecnie pewna zasługa globalizacji jako procesu rozwojowego, który wymusza otwarcie na świat, a zarazem powoduje erozję – wymywanie tradycyjnych kulturowych podstaw stabilności społecznej i politycznej.

Zastanawiając się nad konsekwencjami 11 września dla świata, warto się odwołać do jednego z amerykańskich komentatorów, który wkrótce po tym wydarzeniu napisał, iż jedna z głównych linii sporu o interpretację przyczyn 11 września przecina następującą kwestię: czy to, co się stało, jest „*world-changing event*” czy „*America-changing event*”. Jak zauważył z pewnym zaskoczeniem, odpowiedź zależy od tego, kto udziela odpowiedzi: Amerykanie chcą, aby zmienił się świat (bardziej empatycznie odczuwał lęki Amerykanów), natomiast Europejczycy i przedstawiciele innych regionów woleliby, aby zmieniła się Ameryka (aby lepiej rozumiała i wczuwała się w problemy świata i chciała z nim współpracować). Pierwsze miesiące po 11 września pokazały, iż **konsekwencje tego wydarzenia nie wychodzą na dobre ani Ameryce, ani światu**. Byłoby zwłaszcza niedobrze, gdyby walka z terroryzmem miała stać się bardziej trwałą zasadą – czynnikiem organizującym politykę zagraniczną i porządkującym życie międzynarodowe. Oznaczałoby to powrót do swoistej globalnej zimnej wojny ze wszystkimi jej negatywnymi implikacjami. Z drugiej strony niezbędne jest zdecydowanie, konsekwencja i cierpliwość w bezwzględnym i bezkompromisowym zwalczaniu samych terrorystów – sprawców morderczych zamachów i tych, którzy nimi kierują. Nie mniej stanowcze i konsekwentne powinno być dążenie społeczności międzynarodowej, w istocie rozwiniętych państw demokratycznych, do eliminacji tego, co stanowi głębsze źródła lub pożywkę dla różnych ekstremizmów. Wreszcie, przed trudnym wyzwaniem stanął Zachód. Broniąc się przed zagrożeniami, których symbolem był atak z 11 września, musi uporządkować własne podwórko

także przez sięgnięcie do podstaw swojej cywilizacji. Porządkując zaś świat w trosce o własne i globalne bezpieczeństwo, musi to czynić ze świadomością, iż skutki błędów popełnionych wobec innych kiedyś uderzą w nas ze wzmocnioną siłą (tak jak dziś płaci się cenę za przeszłe podboje kolonialne).

NATO – *STILL RELEVANT?*

Po 11 września rozpełtała się prawdziwa dyskusja na temat przydatności NATO w obliczu nowych zagrożeń, koniecznych zmian dostosowujących, współpracy z Rosją oraz o jego przyszłej, najlepiej globalnej, roli międzynarodowej. Punktem odniesienia dla tej dyskusji jest kampania antyterrorystyczna prowadzona przez lidera Sojuszu i miejsce, jakie zostało mu przez owego lidera wyznaczone. Tymczasem bardzo trudno jest oceniać reakcję Sojuszu na 11 września oraz udział NATO w operacji antyterrorystycznej – tej, którą rozwinęły i poprowadziły Stany Zjednoczone. Słuszny jest bowiem pogląd, że NATO nie zostało powołane ani uformowane na potrzeby walki z takim niekonwencjonalnym zagrożeniem. Tego rodzaju atak był istotnie precedensem. Dla wszystkich. I dla państw, i dla organizacji międzynarodowych, nie tylko dla NATO. Sojusz musiał działać w pośpiechu i pewne reakcje improwizować. W takiej sytuacji łatwiej popełnić błąd i wystawić się na krytykę. Mniej ważna jest zatem ocena samej reakcji NATO czy roztrząsanie kwestii skali i adekwatności zaangażowania Sojuszu w operacji antyterrorystycznej, która nie była operacją NATO, zwłaszcza iż miejsce Sojuszu w tej kampanii było starannie określone (limitowane) przez USA, nie przez sam Sojusz. Ważniejsze są wnioski, jakie Sojusz, a zwłaszcza państwa członkowskie, powinien wyciągnąć z tego wydarzenia i operacji. Podkreślam: państwa członkowskie, to organizacja bowiem powinna być instrumentem w rękach państw (służyć ich bezpieczeństwu), nie odwrotnie. Niekiedy można odnieść wrażenie, że dla niektórych NATO jest wartością samą w sobie, której powinny być podporządkowane interesy państw członkowskich.

Bez wątpienia, Sojusz jako ugrupowanie koalicyjne nie sprawdza się w operacjach militarnych typu ekspedycyjnego; po doświadczeniach operacji przeciwko Jugosławii Amerykanie nie posłużyli się NATO jako instrumentem militarnym w kampanii w Afganistanie. „Waszyngton wybrał drogę na skróty”, pisze J. Nowak-Jeziorański. Zamiast z „wielkim ciałem zbiorowym (...) wolał zawrzeć bilateralne porozumienia z tymi państwami, których doraźna pomoc była najbardziej przydatna”²¹. Po 11 września Organizacja sprawdziła się natomiast świetnie jako koalicja polityczna, dając Stanom Zjednoczonym komfort rozległego wsparcia, który pozwolił im na koncentrację na jednym zadaniu, mianowicie Afganistanie. Jednak dla wielu okazało się to dalece niewystarczające i było powodem do wypowiedzania tezy o kryzysie NATO lub wręcz opinii, iż skoro NATO nie nadaje się do operacji typu afgańskiego, to staje się „reliktem zimnej wojny”.

²¹ „Rz” z 10 grudnia 2001 r.

Sojuszu Atlantyckiego nie możemy jednak oceniać tylko przez pryzmat jego skuteczności (lub nie) jako wojskowej organizacji ekspedycyjnej. Byłoby niedobrze, gdyby na tle napięć wewnętrznych związanych z tą nową, niespodziewaną funkcją i problemami jej realizacji miał ucierpieć podstawowy walor NATO, czyli funkcja obronna oraz funkcja ogniwa łączącego Amerykę i Europę. Taka była przyczyna jego powstania, cel działalności, jego strategia i struktura. NATO jest typowym i zarazem najbardziej udanym przykładem klasycznego, a przy tym stale ewoluującego sojuszu w czasach nowożytnych. W obliczu niepewności rozwoju życia międzynarodowego należy zachować to, co jest sprawdzonym atutem Sojuszu. Ponadto, co podkreślano zwłaszcza w Polsce w procesie dochodzenia do członkostwa, nieocenioną wartością Sojuszu jest jego rola spoiwa polityczno-strategicznego całego świata zachodniego, i tego także nie wolno narażać w związku z doraźnymi operacjami *out of area*, wokół których nie zawsze musi mieć miejsce zbieżność interesów i zgoda wszystkich członków NATO. O tym powinni pamiętać wszyscy ci, którzy domagają się rażnego wykonywania przez Sojusz zadań, do jakich nie był przygotowany.

Niejednoznaczna pozostaje natomiast ocena zasadności odwołania się do art. 5. Rzecz nie tylko w tym, czy zamach z 11 września spełniał kryteria *casus foederis* zapisane w art. 5, lecz przede wszystkim w naturze faktycznych działań, które zostały uruchomione w wyniku owego odwołania. Całkowicie rację ma bowiem gen. Stanisław Koziej, gdy pisze: „pierwsze praktyczne zastosowanie tego artykułu ma zupełnie inny kontekst. W konsekwencji mechanizm uruchamiania NATO, a także sposób działania sojuszu na podstawie art. 5 odbiegają od przedwrześniowych wyobrażeń, ustaleń i projekcji (...). Art. 5 został tu zastosowany zbyt pochopnie, w gorącym, emocjonalnym, operacyjnym odruchu solidarności z zaatakowanym sojusznikiem”. Niezależnie od oceny trafności tego kroku „tak właśnie wygląda działanie NATO na podstawie art. 5. Czy jednak tak samo wyglądałoby działanie NATO w razie konieczności prowadzenia obrony na terytorium państwa członkowskiego? Gdyby tak miało być, nie byłaby to zbyt optymistyczna perspektywa, przynajmniej z punktu widzenia Polski”. Ponadto funkcja obronna nie może się ograniczać do odstraszenia i obrony przed klasycznymi, zewnętrznymi zagrożeniami, które obecnie (przejsłowo?) są „wysoco nieprawdopodobne”²². Powinna się rozciągać na nowe zagrożenia, które mogą się pojawić od wewnątrz (w sensie fizycznym atak na WTC był atakiem od wewnątrz), zgodnie z nienową przecież dyrektywą francuskiego teoretyka strategii, J.-P. Charnaya, nakazującą postrzegać obronę „jako poszukiwanie i analizę własnych słabości w celu ograniczenia ich wpływu na nasze bezpieczeństwo”. Być może niezbędne będzie rozszerzenie współpracy w łonie NATO w zakresie, który jest przedmiotem tak zwanego trzeciego filaru w Unii Europejskiej. Pojawiają się pierwsze zapowiedzi takich kroków.

²² S. Koziej, *Rewolucji w NATO nie będzie*, „Rz” z 30 stycznia 2002 r. Początkowo dla niektórych ekspertów i polityków fakt szybkiego odwołania się do art. 5 był doniosłym znakiem sojuszniczej solidarności i oznaką gotowości NATO do odgrywania centralnej roli w obliczu nowych zagrożeń dla bezpieczeństwa państw członkowskich. Zob. np. A.J. Blinken, Ph.H. Gordon, *NATO Is Ready to Play a Central Role*, „IHT” z 18 września 2002 r.

Całkowicie odrębnym problemem jest rola Stanów Zjednoczonych jako przywódcy Sojuszu. USA – ze względu na ich potencjał i interesy (globalne i rozległe) – wykazują i będą wykazywać skłonności do działania w pojedynkę (unilateralnie) i wyłamania się z ram wspólnie prowadzonej polityki (i operacji wojskowych). Taką postawę ujawniły Stany Zjednoczone przy okazji operacji afgańskiej w sposób dalece wykraczający poza wcześniejsze wyobrażenia. Najbardziej zabolalo sojuszników przesłanie przekazane im przez Waszyngton już na samym początku operacji i bez zważania na solidarne i natychmiastowe (już 12 września) przywołanie art. 5. Owo przesłanie brzmiało: „Siedźcie cicho, jak będziemy was potrzebować, to was zawołamy”. Zupełnie fundamentalny problem, jaki się pojawia w tej sytuacji, polega na tym, w jakiej mierze sojusznicy są w stanie wpływać na Waszyngton oraz czy operacje prowadzone przez USA przy politycznym wsparciu NATO nie będą w pewnym momencie narażać interesów europejskich sojuszników USA. Problem nie jest hipotetyczny w kontekście głośnego rozpatrywania przez administrację USA „pójścia za ciosem”, czyli uderzenia po Afganistanie na inne państwa; jednym tchem wymienia się: Al-Ka’idę, Irak, Syrię, Iran itd. jako kraje... „do wyzwolenia”! Dość przerażające było otwarte zachęcanie do takich ataków przez znanych komentatorów (J. Hoagland, E. Luttwak). Wszystko to działo się w zupełnym oderwaniu od mandatu ONZ w takich sprawach. Waszyngton niesłyszalnie rozszerzającą pojmował swą misję walki z terroryzmem. Stosunek do Iraku Saddama Husajna miał zaś charakter atawizmu odziedziczony po poprzedniej administracji Busha, której przedstawiciele w administracji Busha juniora nie mogli sobie podarować niedokończonej operacji „Pustynna Burza”. Zamiar zaatakowania Iraku w związku z kampanią antyterrorystyczną można dlatego uznać za atawistyczny, iż raporty CIA jednoznacznie wykluczały powiązania Bagdadu z Al-Ka’idą; również sojusznicy USA (nawet Londyn) nie znajdowali uzasadnienia dla operacji zbrojnej przeciwko Irakowi²³. W takich sytuacjach założenie o tożsamości interesów (zawsze, wszędzie, pełnej) może niekiedy okazać się złudne. Przypomnijmy obawy de Gaulle’a przed „wciągnięciem przez USA swych sojuszników w nie ich wojnę”. W sytuacji wychodzenia przez Sojusz poza tradycyjny mandat jest to bardziej możliwe niż w przeszłości, w okresie zimnej wojny.

Amerykanie uzasadniali odsunięcie NATO w operacji afgańskiej na drugi plan przede wszystkim wymogiem skuteczności działania, i tu trzeba uznać ich racje. Dyskusyjny jest natomiast drugi z formułowanych argumentów, a mianowicie brak w armiach sojuszniczych sprzętu wojskowego, który jakoby był niezbędny, aby Europejczycy mogli współdziałać z Amerykanami w operacji „Enduring Freedom”. Rację należy tu przyznać tym, którzy twierdzili, iż nawet gdyby

²³ Pretekstem miało być zmuszenie Iraku do przyjęcia inspekcji międzynarodowej sprawdzającej, czy Bagdad nie produkuje broni masowego rażenia. Zapominano przy tym, iż inspektorzy zostali usunięci z Iraku po tym, jak Amerykanie i Brytyjczycy zbombardowali Irak (grudzień 1998 r.) na podstawie wątpliwego raportu Butlera, zanim raport trafił – zgodnie z procedurą – do Rady Bezpieczeństwa NZ. Pozostali członkowie Rady nie podzielili wniosków i reakcji Anglosasów. Tamten atak powszechnie interpretowano jako próbę obalenia Saddama Husajna.

Europejczycy dysponowali odpowiednim sprzętem, uzbrojeniem, logistyką itp., to i tak nie zostaliby poproszeni, Waszyngton bowiem chciał przede wszystkim zachować wolną rękę w tej operacji. Europa różni się także od Waszyngtonu w wymiarze taktyczno-operacyjnym zwalczania terroryzmu. Ameryka stawia na siłę zbrojną przy założeniu „zero strat własnych”, co wymusza użycie najcięższych rodzajów broni, w tym zwłaszcza rozległe zastosowanie ciężkich bombardowań, podczas gdy Europejczycy nie wierzą w rozstrzygające znaczenie środków militarnych.

W Europie nie podobały się zatem te głosy pochodzące z Waszyngtonu, dla których najważniejszym wnioskiem płynącym z operacji afgańskiej dla NATO są większe wydatki na zbrojenia w Europie, zwłaszcza takie, które pozwoliłyby działać sojusznikom w skali globalnej. Niepodjęcie takiego wysiłku miałyby prowadzić do odrzucenia przez Waszyngton Sojuszu Atlantyckiego jako instrumentu anachronicznego i zbędnego w amerykańskiej polityce bezpieczeństwa. **Nowe podejście USA do NATO trafnie przedstawił senator Richard Lugar w swoim głośnym wystąpieniu na forum Rady Ambasadorów Sojuszu 19 stycznia 2002 r.** Lugar ocenił rolę odgrywaną przez Sojusz po 11 września jako „ograniczoną, ogólnie polityczną i symboliczną”. Stany Zjednoczone, jak stwierdził, mają zaufanie do wybranej grupy pojedynczych sojuszników, **„nie ufają natomiast NATO jako instytucji”** (*did not have confidence in the institution that is NATO*). Jego zdaniem w Waszyngtonie istnieją trzy szkoły myślenia w tej sprawie. Zgodnie z pierwszą, NATO jest organizacją polityczną przeznaczoną dla Europy i dla potwierdzenia tej misji należy włączyć Rosję do Sojuszu. Zdaniem drugiej NATO „jest tym, czym jest, i nie należy niczego zmieniać”. I wreszcie trzecia szkoła zakłada, że NATO jest obronnym ramieniem Europy i Ameryki, które powinno odpowiadać na wszelkie zagrożenia dla wspólnoty transatlantycznej, niezależnie od tego, skąd pochodzą. Dla niektórych w Europie, mówił Lugar, trzecia szkoła jest zbyt radykalna. Jednak zdaniem Ameryki 11 września doszło do redefinicji zagrożeń dla bezpieczeństwa Zachodu. **Jeśli więc Sojusz nie uświadomi sobie, iż musi stawić czoło tym nowym zagrożeniom, może się uznać za relik z zimnej wojny.** Doroczna monachijska konferencja poświęcona bezpieczeństwu międzynarodowemu (2–3 lutego 2002 r.) pokazała, że stanowiska obu stron: „wojowniczej Ameryki” i „gnuśnej Europy” nie będą łatwe do pogodzenia.

Po 11 września, w związku z błyskawicznym przyłączeniem się Rosji do kampanii antyterrorystycznej, pojawiła się silnie lansowana teza, że **„NATO potrzebuje Rosji”** (niezliczone artykuły pod takim wręcz tytułem). Skrajną ich wersją były głosy nawołujące do przyjęcia Rosji do NATO. Było to o tyle nieporozumieniem, że **w tej operacji Sojusz nie potrzebował Rosji, ponieważ jej nie prowadził.** Operację prowadziły Stany Zjednoczone, i to one istotnie potrzebowały (i korzystały z tej możliwości) Rosji. Jednak w Moskwie do tego stopnia spodobała się ta nieprawdziwa teza, iż zaczęto tam głośno rozważać, pod jakimi warunkami Rosja zacieśniłaby współpracę z NATO, nie wykluczając (sam prezydent Putin) członkostwa. Dopiero w rozmowie z Robertsonem w Brukseli rosyjski prezydent przyznał, że trochę się w Moskwie zagalopowano, a ewentualne członkostwo w Sojuszu nie jest kwestią najbliższych lat.

Rozważanie takie można określić jako wręcz surrealistyczne, bo sprawy mają się zgoła odwrotnie: bardziej niż NATO Rosji, Rosja potrzebuje NATO. I to nie Rosja powinna być tutaj stroną stawiającą warunki. Nie oznacza to, że coraz bliższa współpraca NATO–Rosja nie jest rzeczą pożądaną; jak najbardziej jest. Przed 11 września to jednak Rosja nie chciała korzystać ze stwarzanych jej przez NATO możliwości. Jeśli teraz pragnie dialogu i współpracy z NATO, to trzeba jej to umożliwić, a Polska powinna temu sprzyjać. Taka współpraca leży w interesie wszystkich państw naszej strefy. Było zarazem zjawiskiem niepożądanym i niewłaściwym publiczne zaskakiwanie przez niektórych polityków (amerykańskich, brytyjskich, kanadyjskich czy samego Robertsona) swych sojuszników indywidualnymi, radykalnymi (prawo weta w stosunku do pewnych decyzji) pomyśłami w tym zakresie. Podważało to zespołowy charakter Sojuszu i destabilizowało myślenie w kluczowych sprawach bezpieczeństwa. Przy planowaniu dalszego zbliżenia Rosji do NATO w nowej formule instytucjonalnej konieczne jest staranne rozważenie kilku ważnych kwestii. **Należą do nich interesy, które pragnie osiągnąć Moskwa dzięki włączeniu się w procedury – nawet jeśli tylko nieformalne – decyzyjne NATO; sprawa przywództwa w Sojuszu i jego sprawności decyzyjnej; spójność Sojuszu, zwłaszcza w świetle zarysowanych różnic w zakresie zwalczania terroryzmu (Moskwa jest tu bliższa Waszyngtonowi, a zatem mogłoby dojść do marginalizacji Europy w NATO na rzecz niemal atawistycznego „strategicznego partnerstwa obu mocarstw”); last but not least – czym będzie NATO po wpuszczeniu, według niektórych określeń, „lisa do kurnika” czy „misia do pasieki” – kolejną OBWE? Sprawa wymaga ostrożności (nie ma powodów do pośpiechu), a sam proces – postępuje, choć raczej w drodze ewolucji²⁴.**

Ogromnym zagadnieniem i wyzwaniem, przed jakim stanął Sojusz Atlantycki po 11 września, jest kwestia jego globalnej roli. Rzecz była dyskutowana po raz pierwszy przy okazji pracy nad nową koncepcją strategiczną NATO, przyjętą na spotkaniu na szczycie Sojuszu w kwietniu 1999 r. Wówczas europejscy członkowie NATO niezbyt chętnie reagowali na tę kwestię wprowadzaną do dyskusji przez Amerykanów. 12 września, kiedy Europejczycy z własnej inicjatywy przywołali art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego, „globalna rola” stała się faktem. Wiedziano wszakże, iż jeśli okaże się, że atak na Amerykę pochodził gdzieś z Bliskiego Wschodu czy Azji Środkowej, to Sojusz będzie towarzyszył Ameryce w akcji wojskowej przeciwko sprawcom zamachu także w tamtych rejonach, czyli daleko poza geograficznym zasięgiem obrony określonym w art. 6. **Pytanie zatem nie brzmi: czy globalne NATO, lecz w jaki precyzyjnie sposób globalna rola NATO ma się przejawiać.**

Nieuchronna, jak się zdaje, ewolucja w kierunku globalnego NATO pociąga za sobą konieczność stawiania czoła wyzwaniu dwojakiego rodzaju: po pierwsze, przygotowania Sojuszu do działania w skali globalnej pod względem

²⁴ J. Onyszkiewicz, *Jeszcze nie czas na Rosję*; Z. Brzeziński, *Jatta czy Malta?*; J. Nowak-Jeziorański, *O jeden most za daleko*, „Rz” z 21 listopada, 3 grudnia i 10 grudnia 2001 r.

strategicznym, po drugie, przygotowania do działań wyłącznie defensywnych, w obliczu zagrożenia dla bezpieczeństwa jego członków (nie na przykład jego ekonomicznych interesów lub interweniując w wewnętrzne sprawy innych państw; globalne misje humanitarne trzeba pozostawić ONZ). Pierwsza sprawa jest stosunkowo prosta, pozostawia bowiem do rozwiązania problemy organizacyjno-techniczne. Byłoby jednak błędnym uproszczeniem zawężenie problemów bezpieczeństwa, do czego wykazują skłonność Amerykanie, do aspektów techniczno-organizacyjnych, czyli uzbrojenia i logistyki. Wśród ekspertów istnieje daleko posunięta zgodność poglądów co do tego, jakie zabiegi należy podjąć lub jakie kwestie rozstrzygnąć, aby przystosować Sojusz do jego globalnej misji. Należy do nich utrzymanie obecnej polityki nuklearnej NATO, wyposażenie NATO w zdolności do przeciwdziałania zagrożeniu bronią chemiczną i biologiczną, przesunięcie podbudowanego zdolnościami wojskowymi strategicznego zainteresowania w kierunku południowo-wschodnim (począwszy od Rumunii i Bułgarii, przez Turcję oraz jej otoczenie i dalej...), rozbudowa politycznej i militarnej współpracy z Rosją, wzmocnienie przez DCI i ESDP europejskich zdolności współdziałania z USA w strefie i w sytuacjach wykraczających znacząco poza tradycyjny mandat geograficzny Sojuszu²⁵.

Główny problem związany z tendencją w kierunku globalizacji funkcji NATO polega jednak na tym, że może ona doprowadzić do postrzegania Sojuszu przez resztę świata jako militarne instrumentu, za pomocą którego bogaty Zachód zapewnia sobie hegemoniczną pozycję w ramach obecnego porządku międzynarodowego. Utrzymanie się tej tendencji pogłębiłoby polaryzację Północ-Południe i związane z tym rozliczne konsekwencje dla świata. Tego nie da się skompensować argumentem o wyższości naszych wartości. Aby uniknąć takiego rozwoju wydarzeń, a zwłaszcza wizerunku „światowego żandarma” (działającego w interesie bogatych i uprzywilejowanych), NATO musi bardzo powściągliwie posługiwać się siłą, a wtedy, kiedy to czyni, nie powinno stawiać się ponad prawem. Nadmiar potencjału militarne i skłonność do jego nadużywania będą nieuchronnie rodzić wrogie uczucia i reakcje, które mogą się także krystalizować w postaci desperackich aktów terroru. Nie możemy zapominać, iż liberalne demokracje są immanentnie podatne na zagrożenia tego rodzaju. Istnieje tu długofalowe ryzyko wejścia na skalę globalną w spiralę przemocy, której regionalnym archetypem jest obecnie konflikt bliskowschodni: atak – odwet, atak – odwet, i tak bez końca...

Trzecim, wcale nie oczywistym co do możliwości zrealizowania, jest wymóg rzeczywiście kolektywnego w charakterze działania Sojuszu. **Globalny Sojusz może być jedynie kolektywnym sojuszem**, zarówno pod względem postrzegania zagrożeń, jak i sposobu podejmowania decyzji w reakcji na nie, aż po partnerskie współdziałanie podczas wspólnie prowadzonych operacji. Przypomnijmy w tym

²⁵ R. Kuźniar, *Globalne implikacje rozszerzenia Sojuszu Atlantyckiego*, „Sprawy Międzynarodowe” 1999, nr 1; M. Mathiopoulos, *NATO Goes Global or Becomes Irrelevant*, referat wygłoszony na spotkaniu Dr. Manfred Woerner Circle w siedzibie NATO, 19 listopada 2001 r.

kontekście słowa gen. Wesleya Clarka, głównodowodzącego NATO z okresu wojny o Kosowo. Stwierdził on mianowicie, iż natychmiast po rozpoczęciu operacji zdał sobie sprawę, że „nie jest to wojna o Kosowo, lecz wojna o NATO”. Trzeba mieć zatem świadomość, iż inaczej musi wyglądać aspekt operacyjno-taktyczny wojny o Kosowo (interwencji humanitarnej), inaczej zaś wojny o zachowanie wiarygodności Sojuszu. To właśnie wokół tych zagadnień dochodziło do największych różnic pomiędzy USA a Europą w toku kampanii przeciwko Serbii²⁶. Silne przywództwo, jakże potrzebne w sojuszu wojskowym, nie może prowadzić – ze względu na styl jego sprawowania – do opinii i skarg, iż **NATO jest organizacją** feudalną („zapewnianie przez suwerena opieki wasalom w zamian za poddaństwo”²⁷). Niewątpliwym problemem, który daje o sobie znać w sytuacji tak dużych zmian w międzynarodowym środowisku bezpieczeństwa Sojuszu, jest brak pogłębionej dyskusji w łonie samej Organizacji. Dyskusja o jej słabościach czy przyszłości toczy się głównie poza NATO, na jego obrzeżach. Pod tym względem Sojusz odróżnia się niekorzystnie od UE czy nawet ONZ, wewnątrz których toczy się stale żywa i szczerza debata na temat ich mandatu i sposobu funkcjonowania. Czasem można odnieść wrażenie, iż bardziej od potencjału argumentu liczy się argument potencjału.

UE – LANGSAM, LANGSAM, ABER SICHER?

Z wydarzeń 11 września i operacji afgańskiej Ameryki dla Europy mogły płynąć dwa wnioski. Pierwszy, w kontekście odsunięcia NATO na drugi plan i wzmożonego unilateralizmu polityki USA, mógł brzmieć: Europa (UE) musi być przygotowana na samodzielne stawienie czoła nowym wyzwaniom międzynarodowym, a zatem niezbędne jest podjęcie wynikającego z tego przesłania wysiłku. Drugi jest znacznie bardziej pesymistyczny: operacja afgańska podkreśliła strategiczną słabość Europy i pogłębiła wrażenie irrelevantnego charakteru ESDP w obliczu nowych zagrożeń. Jeśli NATO okazało się zaledwie *relevant* (wedle określenia lorda Robertsona), to tym bardziej trudno sobie wyobrazić zaangażowanie militarne UE w tego typu operacje. ESDP nieuchronnie powstanie, lecz maksimum tego, na co będzie ją stać, to misje humanitarne, bez żadnego znaczenia militarnego i o niewielkim znaczeniu politycznym, czyli pozostające bez żadnego związku z jej nazwą (bezpieczeństwo i obrona). ESDP, ze względu na jej mały budżet, tradycyjne zburokratyzowanie unijnych mechanizmów, wewnętrzne zróżnicowanie członków (są tam państwa neutralne i członkowie NATO, mocarstwa nuklearne i państwa bez niemal żadnego potencjału wojskowego, przekonani zwolennicy NATO i ścisłych związków z USA i państwa dążące do trzymania Waszyngtonu na dystans) oraz zależność od zasobów NATO, będzie – jak wszystko na to wskazuje – niezdolna do szybkiego reagowania. Zauważmy, iż po 11 września ESDP rozwija się, „jak gdyby się nic nie stało”²⁸. O kruchości

²⁶ W.K. Clark, *Waging Modern War*, Nowy Jork 2001.

²⁷ B. Guetta, „L’Express” z 11 stycznia 2001 r.

²⁸ Wydatki na obronę w państwach UE wyniosły w 2001 r. przeciętnie około 1,5% PNB; wyjątkiem były Francja i Wielka Brytania – po około 2,5%. W USA – 3,5%.

tego projektu świadczy to, jak bardzo jest on zależny od zmieniającego się co pół roku przewodnictwa w UE. W czasie francuskiego przewodnictwa wydawało się, że ESDP stanie się rzeczywistością. Przewodnictwo państw mniejszych lub wcale nie zainteresowanych tym projektem spycha tworzenie ESDP na odległe miejsce na liście unijnych priorytetów; hen, za sprawy socjalne, ubezpieczenia, ochronę zdrowia, nieustające reformy instytucji itp., co wymownie ilustruje prawdziwe zainteresowania sytej i starzejącej się Europy. Duńska prezydencja wyrzekła się najmłodszego dziecka UE, to jest ESDP, i jego wychowaniem będzie się zajmować przez dwa kolejne półrocza Grecja, która nie należy ani do grona unijnych mocarstw, ani nie jest czempionem tego projektu. Wiele zatem wskazuje na to, że w przewidywalnej przyszłości – parafrazując A. Malraux – **„obrona Europy będzie atlantycka albo nie będzie jej wcale”**.

Tymczasem wojskowo-strategiczna słabość Europy wobec USA zdaje się względna; przynajmniej w oczach samych Europejczyków. Oto bowiem po raz pierwszy od czasów de Gaulle'a ośmielają się oni otwarcie podkreślać dzielące ich od Ameryki różnice i czynią to z niespotykaną wcześniej polemiczną odwagą. Tylko w styczniu 2002 r. minister spraw zagranicznych Francji zarzucił administracji Busha „prostackie podejście” do kwestii walki z terroryzmem, jego odpowiednik z Niemiec poradził, aby „nie traktowały swych sojuszników jak satelitów w ramach nowego imperium”, Szwecja zaś nazwała politykę USA wobec Bliskiego Wschodu „niedorzeczną”. Dyplomatycy z reguły Europejczycy mieli widocznie powody, aby powiedzieć – „dość”. Konsekwencje 11 września jedynie zaostrzyły narastającą od pewnego czasu tendencję. Pisał o niej z niepokojem w wydanej jeszcze przed 11 września książce Henry Kissinger. Jego zdaniem „mamy obecnie do czynienia z jakościową różnicą w stosunkach transatlantyckich. Kiedyś występujące między oboma stronami Atlantyku spory były kłótnią w rodzinie. **Dzisiaj sama definicja wspólnego bezpieczeństwa, w rzeczy samej wspólny cel Sojuszu, jest kwestionowana**”²⁹.

Targana wewnętrznymi różnicami stanowisk, hamletyzująca na temat swych problemów i ambicji międzynarodowych, poniżana od czasu do czasu przez Amerykę Unia Europejska „robi swoje”. Powoli, lecz uparcie. Bilans roku nie jest jednoznaczny, jednak nie ma powodu do kompleksów. Istotnie, „Europa” nie wzięła udziału w operacji antyterrorystycznej w Azji Środkowej. Stało się tak jednak przecież nie tyle ze względu na brak zdolności militarnych mieszczących się w ramach ESDP, lecz dlatego, iż Amerykanie woleli działać sami, aby zachować swobodę polityczno-strategiczną i operacyjną. Przywołując 12 września art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego, sojusznicy USA wykazali jednak – według określenia Nicole Gnesotto – „instynktowną europejską solidarność z Ameryką”. Szkoda, iż nie doceniono tego w Waszyngtonie. UE (oraz europejska część NATO) podjęła zarazem cały szereg mniej spektakularnych, chociaż niesłuchanie ważnych kroków, których celem jest zwiększenie skuteczności w zakresie zwal-

²⁹ H. Kissinger, *Does America Need a Foreign Policy?...*, op. cit., s. 33.

czania międzynarodowego terroryzmu, włączając w to przyjęcie decyzji o wspólnym europejskim nakazie aresztowania wobec osób podejrzanych o tego typu działalność, a także wzmocnienie współpracy policyjnej i sądowniczej. **Długofalowa skuteczność walki z terroryzmem tkwi nie w operacjach typu afgańskiego, właściwych dla nieistniejącej jeszcze w praktyce ESDP, lecz we współdziałaniu międzynarodowym znajdującym się w zakresie stale rozszerzającego się trzeciego filaru UE**³⁰.

Są inne ważne powody do tego, aby mówić, iż Europa uparcie „robiąc swoje”, czyni postępy, choć nie odnosi spektakularnych sukcesów. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy trzy wielkie zagadnienia mogą być uznane za sukces UE, i przynajmniej jedno z nich powinno stanowić powód do uzasadnionej dumy: wprowadzenie euro, przygotowania do rozszerzenia, reformy instytucjonalne. 1 stycznia 2002 r. w dwunastu krajach UE wprowadzono wspólną walutę. Euroland liczy ponad 300 mln ludności, czyli więcej niż USA. Kraje Eurolandu stanowią też największą potęgę handlową świata. Zaskakująco sprawne i skuteczne wprowadzenie euro jest przedsięwzięciem tyleż ekonomicznym, co politycznym. Z pewnością umocni UE pod względem pozycji finansowej i handlowej w gospodarce światowej, będzie sprzyjać jej wzrostowi gospodarczemu oraz wewnętrznej integracji, a także wymuszać większą jedność polityczną. **Euro jest ważnym filarem potęgi politycznej UE**, która zacznie być odczuwalna w strukturze porządku międzynarodowego za kilka lat (aczkolwiek nie gwarantuje jej tego automatycznie). Decyzje kolejnych szczytów UE w Göteborgu i w Laeken czynią perspektywę wielkiego rozszerzenia UE realną. Unia oswoiła się z perspektywą *big bang*, co nie znaczy, iż cała dziesiątka poważnych kandydatów znajdzie się tam już w 2004 r. Na przeszkodzie mogą stanąć nie tyle opory polityczne, bo te – jak się zdaje – są już ostatecznie przełamane, ile bariery finansowe po stronie UE i brak determinacji oraz niemożność sprostania wymogom członkostwa po stronie (niektórych) kandydatów; tutaj wymienia się niestety niemal wyłącznie Polskę.

Rozszerzeniu podporządkowany jest **proces reform instytucjonalnych UE**, który przez jego krytyków jest określany jako „nieznośnie nudna rewolucja” (*tiresome revolution*), lecz dla którego na gronie piętnastu nadal suwerennych państw, reprezentujących nawet więcej niż piętnaście historycznych narodów, nie ma właściwie alternatywy. Dzięki temu UE jest tworem, który przez kompromis i konsensus uwzględnia interesy wszystkich, także małych państw. Innym wyjściem byłaby „odgórna rewolucja”, czyli narzucenie swej „wizji” jednym przez drugich, co – jak wiadomo z historii Europy – jest kosztowne i kończy się fatalnie. W tej samej perspektywie należy oceniać szanse Konwentu, który rozpoczął swe prace 28 lutego, a którego zadaniem jest przygotowanie projektu „traktatu konstytucyjnego” (Francuzi wolą mówić „konstytutywnego”). Efekt końcowy będzie zapewne, biorąc pod uwagę skład Konwentu i tryb jego pracy, dość małym

³⁰ N. Gnesotto, *Terrorism and European Integration*, „ISS Newsletter”, październik 2001 (autorka jest dyrektorem unijnego Instytutu Studiów Bezpieczeństwa).

wspólnym mianownikiem, a i tak następnie zostanie on głęboko przeorany przez rządy, które wezmą go w swoje ręce w toku następnej konferencji międzyrządowej. Warto zwrócić uwagę na **dwa problemy**, które w szczególności będą podskórnie, choć w przemożny sposób rzutować na prace nad reformą instytucjonalną UE: **powrót prymatu polityki oraz deficyt demokracji** w funkcjonowaniu unijnych instytucji. W świetle wydarzeń 11 września musi być – jak się słusznie niekiedy zauważa – zapewniony prymat polityki nad aktywnością międzynarodową Unii, prymat decyzji państw nad oderwanymi od potrzeb całości (indywidualnych państw i całej Unii) regułami wolnego rynku. Rynek jest obojętny wobec fundamentalnej potrzeby bezpieczeństwa jednostek, społeczności, narodów. To zaś jest pierwotnym zadaniem państwa, które w obliczu nowych i starych zagrożeń odzyskuje swą prawomocność – wobec własnego społeczeństwa i wobec świata zewnętrznego (organizacji międzynarodowych, korporacji transnarodowych etc.). Zatem w procesie reformowania instytucji w kierunku *ever closer union* trzeba się będzie liczyć z uzasadnioną postawą polegającą na zachowaniu istotnych atrybutów suwerenności, a co za tym idzie – przywiązaniu do międzyrządowej płaszczyzny integracji europejskiej, zwłaszcza w jej stosunkach zewnętrznych. Wiąże się z tym dyskutowana od pewnego czasu kwestia deficytu demokracji w Unii. Paradoks problemu polega na tym, że wzmacnianie wspólnotowego wymiaru w strukturze unijnej instytucji oznacza zarazem osłabianie jego demokratycznej legitymizacji. Legitymizacja wymiaru międzyrządowego ma swoje źródło w demokratycznym charakterze rządów, które uczestniczą w tym wymiarze. Jednocześnie ten właśnie wymiar jest postrzegany jako hamujący proces integracji „w głąb”. **Perspektywy europejskiego demos**, legitymizującego silnie instytucje ponadnarodowe, są jednak odległe. O to na razie brakujące ogniwo procesu integracji europejskiej rozbijają się najbardziej ambitne wizje jej przyszłości. O jej kształcie muszą jednak decydować narody; wizjonerzy mogą jedynie oświetlać drogę, po której one się posuwają.

O ile sytuacja w samej Unii, także w kontekście jej rozszerzenia, jest zadowalająca, o tyle jej tożsamość międzynarodowa pozostaje niekompletna. UE dysponuje wprawdzie wieloma mocnymi atrybutami swej międzynarodowej tożsamości, nadal jednak brakuje jej wystarczającej jedności i woli politycznej, która mogłaby ją w pełni i zdecydowanie wyrażać w obliczu jej zewnętrznego otoczenia. Widać to było szczególnie po 11 września, kiedy zamiast skorzystać z szansy międzynarodowego zaistnienia dzięki Wspólnej Polityce Zagranicznej i Bezpieczeństwa, UE poszła w rozsypkę, unijne mocarstwa zaczęły bowiem działać na własną rękę lub spotykając się *ad hoc* w nieformalnych podgrupach. Było to powodem słusznej krytyki ze strony pozostałych członków UE, a zarazem pokazało, ile jest warta w godzinie próby WPZiB. **W płaszczyźnie międzynarodowej Unia pozostaje więc „między młotem Ameryki i kowadłem reszty świata”**. Doświadczenie ostatniego czasu pokazuje, iż członkowie UE powinni mniej hamletyzować w sprawach wewnętrznych, a więcej wagi przywiązywać do budowania jej pozycji międzynarodowej. Ważne jest dokończenie tworzenia atrybutów tożsamości międzynarodowej UE, sposobów i uzasadnień kreowania

woli politycznej oraz definiowanie wizji porządku międzynarodowej i jej w nim roli, m.in. po to, aby świat (USA, islam, Afryka, Azja itp.) nie narzucał Europie rzeczywistości. Pól do działania jest wiele, poczynwszy od tego, co H. Vedrine nazywa „humanizowaniem globalizacji” (mondializacji), przez stabilizowanie swego rozszerzonego otoczenia po upowszechnianie demokracji i praw człowieka³¹.

ROSJA – UŁUDA PRAGMATYZMU

11 września okazał się także punktem zwrotnym w rosyjskiej polityce zagranicznej. Błyskawicznie deklarując solidarność z Ameryką i stając u jej boku w walce z organizacją terrorystyczną Usamy Ibn Ladina, prezydent W. Putin dokonał spektakularnego zwrotu na Zachód. Zdumionym analitykom i komentatorom pozostało jedynie dociekanie, jak głęboki jest ów zwrot – strategiczny czy jedynie taktyczny, przemyślany wcześniej (a 11 września tylko świetnie wykorzystaną okazją) czy spontaniczny, choć oparty na solidnych podstawach? Nawet zakładając szczerą intencję samego Putina, wielu miało wątpliwości co do tego, w jakiej mierze jego postawa jest reprezentatywna dla całej polityki rosyjskiej, z dyplomacją i strukturami siłowymi włącznie. Pojawiły się zatem także ostrzeżenia mówiące, iż nowa polityka Putina jest płytka, brak jej zaplecza wewnętrznego i może się łatwo załamać. Tak czy inaczej, zarówno w deklaracjach rosyjskich, jak i w komentarzach międzynarodowych na temat nowej polityki Moskwy słowem-kluczem stał się „pragmatyzm”, cokolwiek miałyby to w praktyce oznaczać. Ów pragmatyzm zasadza się na świeżo ujawnionej zbieżności interesów pomiędzy Rosją a Zachodem. Taka zbieżność i wynikająca z niej współpraca podlega jednak zmiennej koniunkturze. Fundamentem trwałości więzi międzynarodowych jest wspólnota wartości. W tym sensie Rosja ma długą drogę do przebycia. Jeśli na nią weszła, jest w interesie Zachodu, w tym zwłaszcza Polski, wspierać ją w tym wysiłku.

Pragmatyzm brzmi bowiem zawsze dwuznacznie, oznacza przeciw postawę czy politykę praktyczną i sprawną, jednak bez odniesienia do wartości czy celów działania. Można być pragmatycznym, służąc różnym sprawom. Etykieta pragmatyzmu nie zwalnia od realizmu w ocenie tego, co się za nią kryje. Deklaracje intencji muszą być zatem weryfikowane trzeźwą oceną realnego stanu rzeczy. Przyglądając się Rosji A.D. 2001, wnikliwy analityk i wieloletni dyrektor SIPRI prof. Adam D. Rotfeld, wskazuje zwłaszcza na nieprzewyciężony kryzys cywilizacyjny, w tym fakt, iż w tym państwie nie powstały nawet załączki społeczeństwa obywatelskiego (zanik wolnych mediów). „Główne filary władzy – pisze prof. Rotfeld – są utożsamiane w dzisiejszej Rosji nie tyle z klasycznym trójpodziałem, lecz ze strukturami siłowymi – zarówno w mundurach (wojsko, milicja, straż graniczna), jak i w cywilu, czyli z różnego typu służbami specjalnymi,

³¹ L. Barber, *Europe's 'Great Powers' Break Rank*, „Financial Times” z 6 listopada 2001 r.; N. Clegg, *Europe's Tiresome Revolution*, „Financial Times” z 10 grudnia 2001 r.

których poprzedniczką była KGB”. Świadczy to, że „w Rosji kształtuje się nowy system państwa autokratyczno-policyjnego w sferze politycznej i liberalnego w sprawach gospodarczych (...). Koncentracja autorytarnej władzy centralnej w ręku Putina może na pewien czas stworzyć wrażenie większej przewidywalności. Tym można tłumaczyć poparcie, które nowy prezydent uzyskał na Zachodzie. Nie zastąpi to jednak programu budowy demokratycznego państwa prawa”, konkluduje prof. Rotfeld³².

Dość anachronicznie i może dlatego nie tak bardzo niepokojąco wyglądają w tym kontekście oceny i postulaty znaczących rosyjskich analityków i ekspertów, które odnoszą się do polityki Rosji po 11 września. Dla nich wszystko sprowadza się do ceny, jaką można uzyskać od Zachodu w zamian za poparcie dla walki terroryzmem. Ta cena miałaby mieć podwójny wymiar. Po pierwsze, materialny – chodzi o konkretną i dużą pomoc finansową (zapłatę) dla Rosji; tak do sprawy podchodzi Andronik Migranian. Po drugie, polityczny – dopuszczenie Rosji do współdecydowania razem z USA o losach świata. W ocenie Stanisława Tarasowa chodzi o **„nowy strategiczny układ sił, którego kręgosłupem staje się oś Moskwa–Waszyngton, w którym Pakt Północnoatlantycki, struktura nieruchawa i zbiurokratyzowana, traci swe znaczenie”**. Zaś zdaniem Jurija Lewady, dyrektora Rosyjskiego Ośrodka Badania Opinii Publicznej, „Putin chce nie tyle naszego zbliżenia z Zachodem, ile żeby Zachód zbliżył się do nas. I na przykład definiował znaczenie słów: walka z terroryzmem, ład i porządek, system prawny, demokracja, i wszystko pozostałe tak jak my, zgodnie z naszym ich rozumieniem (...). A na początek niech nam odpuści grzechy popełnione na Kaukazie”³³. Trzeba przyznać, że na tle tych wypowiedzi, autorstwa reprezentatywnych przecież rosyjskich komentatorów, prezydent Putin wygląda znacznie bardziej nowocześnie i rozsądnie.

Co do grzechów na Kaukazie, to rzecz znamienita – chodzi o ich odpuszczenie. Takie myślenie pokazuje, jak wielkie trudności mają rosyjskie elity ze zmierzeniem się z przeszłością i teraźniejszością tego kraju. „Odpuszczenie” bez „oczyszczenia” byłoby złym prognostykiem dla przyszłości polityki rosyjskiej. Nakazywałoby również nieufność i ostrożność wobec różnych zwrotów i deklaracji. Bo też **„grzechy popełnione na Kaukazie”** są ciężkie i świeżej daty. Nadal pojawiają się świadectwa nieustających mordów, tortur, prześladowań, rażących naruszeń praw człowieka popełnianych na niewinnych cywilach przez rosyjskie oddziały wojskowe oraz zupełnie nieprawdopodobnej dewastacji fizycznej Czeczenii, co czyni życie całej ludności w tym kraju horrorem. Przy milczeniu „cywilizowanego świata”, czyli Zachodu. Podobne milczenie, a nawet, jak się pisze, błogosławieństwo Zachodu towarzyszy **powrotowi Ukrainy „w orbitę Moskwy”**. Kombinacja problemów wewnętrznych Ukrainy ze zręczną grą Moskwy i przyzwoleniem Zachodu (zwłaszcza USA) w zamian za poparcie w walce z terroryzmem spr-

³² A.D. Rotfeld, *Ekshumacja czy reanimacja. Rosja na progu XXI wieku*, „Tygodnik Powszechny” z 10 czerwca 2001 r.

³³ Zob. wypowiedzi i wywiady rosyjskich ekspertów w „Gazecie Wyborczej” z 16 i 22 listopada 2001 r. oraz 12–13 stycznia 2002 r.

wiają, iż 50-milionowy kraj, którego faktyczną suwerenność uważano do niedawna za kluczową dla utrzymania pożądanego pluralizmu geopolitycznego w Europie Wschodniej, dryfuje w żelazne objęcia Rosji³⁴. Zwasalizowanie Ukrainy przejawia się także w coraz bardziej chłodnym podejściu Kijowa do „strategicznego partnerstwa” z Polską. Tylko wyżej wymienione problemy nakazują wnikliwość i trzeźwość w ocenie wartości „pragmatyzmu” jako programu nowej polityki Rosji, co nie oznacza przecież, iż nie należy brać za dobrą monetę deklaracji prezydenta Putina³⁵. Przeciwnie, należy też wspierać jego wysiłki w taki sposób, który ów pragmatyzm przemieni w coś więcej niż jedynie wynikające z jego dobrej woli *modus vivendi*. Punktem wyjścia musi być jednak realizm, który nie traci z pola widzenia historycznej perspektywy; nie traci jej przecież, o czym wiadomo, sam prezydent Putin. Zabrakło tego w medialno-propagandowej oprawie jego wizyty w Warszawie, która **ujawniła nadal istniejący w Polsce klientelski kompleks niższości**, a wręcz brak szacunku dla siebie samych. Spokojnej i pewnej siebie prezentacji przez rosyjskiego przywódcę polityki i interesów jego kraju towarzyszyła w Polsce eksplozja medialnego entuzjazmu przypominająca wizyty gospodarzy Kremla sprzed 1989 roku. Powyższe spostrzeżenie nie zmienia faktu, iż była to dobra i potrzebna **obu** stronom wizyta, która jedynie otwiera (tak, „jedynie” lub „aż”) perspektywy lepszych stosunków polsko-rosyjskich.

³⁴ R. Cottrell, *Russia's False Promise*, „Financial Times” z 23 października 2001 r.; P. Tyler, *Chechen Police Call Russian Troops Murderers*, „The New York Times” z 25 stycznia 2002 r.; J. Derlicki, *Matnia Groznego*, „Rz” z 2 listopada 2001 r.; I. Fischer, *With U.S. Blessing, Kiev Returns to Moscow's Orbit*, „IHT” z 14 stycznia 2002 r. Wielce znamienita w tym kontekście jest osoba nowego ambasadora Ukrainy w Polsce: w miejsce odwołanego przedwcześnie adwokata zbliżenia polsko-ukraińskiego amb. Pawłycki został przysłany dyplomata pochodzenia rosyjskiego, specjalista od... Ameryki Łacińskiej.

³⁵ S. Popowski, *Po pierwsze pragmatyzm*, „Rz” z 15 stycznia 2002 r.; A. Łukowski, *Za dużo emocji, za mało konkretów*, „Tygodnik Powszechny” z 27 stycznia 2002 r. Notabene, prezydent Putin w czasie pobytu w Polsce oświadczył, iż „**nie dziwi się nieufności Polaków wobec Rosji, ich kraj znajdował się bowiem przez dziesięciolecia w sowieckiej niewoli**”.